Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1884. Rok VII.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

# NA ROK NOWY.

Stając u kresu roku ubiegłego, powinniśmy rozpatrzyć się w czynnościach naszych, aby rozpierzchnięte ich ślady w jedną zgromadzić całość, zestawić w jeden szereg rezultat naszych dotychczasowych usiłowań. Całego zakresu naszego działania objąć tu nie możemy, zwróćmy więc przynajmniej uwagę na niektóre ważniejsze sprawy.

Niepodobna zaprzeczyć, że w całym kraju naszym, co więcej, na całym obszarze ziem polskich, obudziło się żywe zainteresowanie się łowiectwem, ruch w tym kierunku, dążący do poprawy, uregulowania i podniesienia jego, ożywiony popęd do pomnożenia w tym względzie dobra publicznego zespolonemi siłami. W tym to celu wspólnej pracy w wytkniętym kierunku zawiązało się gal. Towarzystwo łowieckie, zakreśliło sobie program przyszłego działania, i w ciągu lat siedmiu swego istnienia już nie jeden istotnie pożyteczny może wykazać rezultat swoich usiłowań. Wydział tego Towarzystwa, postawiony na straży spraw ogólnych krajowego łowiectwa, jest wyrazem jego dążeń, a połączył on się z krajem węzłem wspólności działania przez swoich reprezentantów i pośredników, Delegatów, którzy go w każdej sprawie łowieckiej na prowincyi zastępują i baczne zwracają oko na rozwój pomyślny krajowego łowiectwa. Że instytucya ta najpożądańszy przynieść może pożytek, nikt nie zaprzeczy, wszak nie wątpimy, że panowie delegaci, przejęci gorącem poczuciem przyjętych obowiązków, z całą energią spełniać je będą.

Najgłówniejszym wyrazem działania Towarzystwa, względnie Wydziału jego, jest i będzie pismo „Łowiec“, które siódmy rok rozpoczyna żywota swego. W nim, jak w zwierciadle, odbijają się dążenia Towarzystwa i rezultat jego działania. Jest on wymownem świadectwem żywotności sprawy łowieckiej w kraju. Co do treści, nie wiele mu dotąd poczyniono zarzutów, a przynajmniej nie tyle ważnych, iżby dotychczasowy kierunek zmienić był zniewolony. Co do formy, odzywały się wymagania, by pojawiał się częściej i aby zdobiły go illustracye. Pierwsze wymaganie, może nawet dla ogółu czytelników na-

szych pożądane, wywołałoby dosyć znaczne podniesienie ceny pisma, które mogłoby zniżyć liczbę naszych czytelników. Drugie wymaganie odrzuciło słusznie ostatnie Walne Zgromadzenie Towarzystwa łowieckiego. Do argumentów na niem przywiedzionych dorzucamy nie mniej ważne. Nie wielu mamy artystów myśliwych i miłośników przyrody, takich jak nasz znakomity Juliusz Kossak, którzyby nam illustracyi, wziętych z życia, dostarczać mogli, a na prace dyletantów rachować trudno. Illustracye musiałyby być wykonane chyba po za granicami kraju z niemałym kosztem. Illustracye nie czynią uszczerbku treści i wartości pism tylko wielkich rozmiarów, przeciwnie w mniejszych pismach nie dozwalają omawianemu przedmiotowi należycie się rozszerzyć, naglą do szkodliwej zwięzłości, a często nawet przybierają postawę dominującą nad tekstem tak, iż illustracya nie jest objaśnieniem tekstu, lecz on staje się jej dodatkiem z konieczności. Pismo nasze ma poważniejsze cele, jak dostarczanie chwilowej przyjemności, jako przednia czata, wysunięta przed armią, strzeże jej dobra i pożytku, cała następna kampania zawisła od jej czujności, gorliwości i poważnego pełnienia swego obowiązku, brawury sobie pozwalać nie może, a taką brawurą mogłyby być illustracye w naszem piśmie, boby narażały na szwank treść i wartość jego, a jako wydawnictwo wyższej pieniężnej ceny zdobiłyby może salony możnych ludzi, ale nie docierałyby do zakątków kraju, gdzie szerzenie nauki i światła najbardziej jest pożądane. Z doświadczenia wiemy, że pisma illustrowane, zwłaszcza myśliwskie, mniejszej są zwykle wartości, mniej też przynoszą realnego pożytku, a nadto odwodzą od poważnego traktowania rzeczy. Tam tylko illustracye są konieczne, gdzie do objaśnienia opisywanego przedmiotu są niezbędnemi. Bogate literatury mogą i powinne mieć pisma illustrowane, i my je mamy z chlubą dla naszej nauki i sztuki, ale w łowiectwie podobno przez długi jeszcze czas tylko realnego pożytku szukać możemy. Czasem tylko, w miarę potrzeby, ozdobimy pismo nasze illustracyą, jak też dotąd czyniliśmy.

Redakcya „Łowca" ogłosiła ważniejsze prace, umieszczane w jego kolumnach, w osobnych odbitkach dla szerszej czytającej publiczności, mianowicie: hr. Kaź. Wodzickiego Wspomnienia myśliwskie i Ruja sarn, hr. L. Starzeńskiego Wspomnienia z wyprawy myśliwskiej do Syryi, A. Barthelsa Tydzień poleski, A. Ubysza Chart, L. Weebera O odtylcowych systemach ręcznej broni palnej. Obecnie oddaje do użytku „Kalendarz myśliwski i rybacki". Staraniem redakcyi „Łowca" było ułożyć ów kalendarz w formie praktycznej, a treść uczynić istotnie pożyteczną; czy ów cel osiągnęła, sąd powszechny na to pytanie odpowie, a prosimy o sąd bezwzględny, bo od niego zawisła wartość kalendarza następnego roku.

Na Walnem Zgromadzeniu z r. 1882 wniósł dyrektor Szkoły lasowej, p. H. Strzelecki, ważną sprawę utworzenia przy tejże Szkole Muzeum łowieckiego i wezwał Towarzystwo nasze do udziału w wykonaniu tego projektu. Z radością i zapałem przyjęło wówczas Walne Zgromadzenie ów wniosek i poleciło swemu Wydziałowi, jak najgoręciej tą sprawą się zająć. W skutek starań sz. dyrektora Szkoły lasowej i poparcia naszego, Muzeum to już dosyć licznymi i pięknymi może się poszczycić okazami, z żalem jednak wyznać musimy, iż dotąd nie doznało w kraju tak silnego poparcia, iżby dziś już imponującą przybrać mogło postać. Wszak nie brak nam myśliwych, nie brak ludzi możnych, nie brak wreszcie czujących potrzebę i znaczenie takiego Muzeum dla powszechności myśliwskiej, a szczególnie dla wychowańców Szkoły lasowej, którzy prócz teoryi i praktycznego potrzebują wykształcenia w nauce łowieckiej. Nie wątpimy, iż rychło ogół silniej wesprze owe pożyteczne usiłowania.

Ze sprawą Muzeum wiąże się ściśle projektowana na ostatniem Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa łowieckiego Wystawa myśliwska, bo owo Muzeum powinno być fundamentem, na którym stanie silny lub wątły gmach Wystawy. Że taka Wystawa byłaby nader pożyteczną, a wobec tak żywo i szeroko obudzonej w kraju naszym sprawy łowieckiej nawet konieczną, tego pododno nikt zaprzeczyć nie moze. Miejmy nadzieję, że wkrótce urządzoną zostanie i że będzie tak świetną, jak szerokiem i dzielnem jest usposobienie rycerskie naszych adeptów chorągwi św. Huberta.

Ważną dla myśliwstwa w ogóle, jakoteż dla naszego specyalnie, jest sprawa zwołania Kongresu myśliwskiego, który się odbędzie na wiosnę t. r. zapewne w Wiedniu. Reprezentowane na nim będą tylko kraje przedlitawskie, należące do monarchii austryackiej. W Czerwcu z. r. torowała drogę kongresowi narada wstępna, odbyta w Wiedniu, w której i nasz delegat wziął udział. Protokół dosłowny tej narady umieściliśmy w nr. 8. „Łowca" r. u. Nasi myśliwi zapewne nie wiele ważą ową naradę i przyszły kongres, gdy żaden głos o nich w „Łowcu" się nie odezwał, a jednak każdy taki głos byłby nader cennym, bo stałby się dyrektywą dla naszych uczestników w kongresie. Redakcya „Łowca" nie może tej sprawy lekceważyć, pozwala sobie przeto poczynić uwagi, które oddaje pod sąd ogółu. Przewodniczący narady wstępnej, ks. Stahremberg, określił w treściwych słowach cel zwołania jej, oraz program działania

przyszłego kongresu. Celem tym jest „utworzenie Związku Towarzystw łowieckich, wspólne działanie i międzynarodowe zarządzenia w celu podniesienia łowiectwa w monarchii“, a zadaniem kongresu ma być „postawienie wspólnych zasad prawnych dla przyszłego ustawodawstwa łowieckiego, uregulowanie myśliwsko-policyjnych przepisów i straży łowieckiej, oraz ujednostajnienie ustawodawstwa łowieckiego, szczególnie co do prawa ochrony zwierzyny; sprawa wynagrodzenia za szkody przez zwierzynę zrządzane; sprawa kart myśliwskich i legitymacyi na broń; wreszcie utworzenie centralnego organu myśliwskiego“. — Żeśmy w kongresie udział wziąć powinni, to pewne, choćby tylko dlatego, aby o nas nie radzono bez nas, aby uchwały kongresu, zamienione następnie w prawo, nie naraziły naszych krajowych interesów łowieckich na uszczerbek. Mimo zapewnień ks. Stahremberga, iż narada i przyszły kongres autonomii krajów koronnych nie naruszą, jawną przewodnią myślą kongresu jest centralizacya, której jak pod względem politycznym, tak również i łowieckim, całą siłą opierać się powinniśmy. Nie możemy niestety szczegółowo rozebrać tej kwestyi, powiemy więc tylko, że głównym celem uczestniczenia naszego w przyszłym kongresie powinna być obrona autonomii krajowej pod względem łowieckim, naszych indywidualnych interesów. Że uchwały kongresu mogą i naszemu łowiectwu przynieść wielkie korzyści, zaprzeczyć nie możemy, ale przedewszystkiem *caveant consules, ne quid detrimenti respublica capiat.* Najdosadniej wyraziła się myśl centralizacyi w projekcie utworzenia centralnego organu myśliwskiego, któremu stanowczo oprzeć się musimy. Mylnem jest twierdzenie ks. Stahremberga, że „pisma myśliwskie Towarzystw łowieckich krajowych żywią się przeważnie artykułami innych pism, że oryginalnych tam mało“. Kolumny „Łowca“ wymownie świadczą, że interesa myśliwskie krajowe wyrażażają się w nim prawie wyłącznie w artykułach i korespondencyach oryginalnych, że pismo to nosi na sobie wybitną cechę narodową, której zrzec się nie może i nie powinno, że przeto wcielenie swego organizmu w organizm obcy byłoby dotkliwą szkodą dla krajowego łowiectwa. Wprawdzie na wstępnej naradzie poparł projekt utworzenia centralnego organu myśliwskiego delegat styryjski Frank, lamentując, iż „wydawanie styryjskich „Mittheilungen“ połączone jest z wielkiemi trudnościami“; ale wiadomo, że Styrya jest gniazdem *des echten Deutschthum* i tendencyi centralistycznych, wierzymy więc, że stołeczne pisma myśliwskie bardziej przemawiają do serca i przekonania styryjskich myśliwych, jak ich ubogie formą i treścią „Mittheilungen“. My żyjemy odrębnem życiem myśliwskiem i samobójstwa na sobie spełniać nie możemy. Z określonych wyżej pobieżnie powodów uważamy kwestyę kongresu za ważną i zwracamy na nią uwagę naszych myśliwych, aby ona w swoim czasie nie zastała nas nieprzygotowanych.

Oto kilka ważniejszych spraw, które poruszyć uważaliśmy za nasz obowiązek, inne znaczą się dobitnie w kolumnach „Łowca“.

Wydział Towarzystwa łowieckiego i Redakcya „Łowca“, rozpoczynając rok nowy swego działania, składają ogółowi naszych myśliwych szczere podziękowanie za tak chętne dotychczasowe popieranie ich usiłowań. Wspólność ta rokuje Towarzystwu łowieckiemu i jego organowi długie i czerstwe życie, pomyślne rezultaty dla łowiectwa, a w tym kierunku dla dobra krajowego.

Pełni otuchy, iż przyszłość coraz jaśniejszem światłem ozłoci nasze dążenia, pewni, że jak dotąd, tak i nadal z istotnym pożytkiem działać możemy i będziemy — ślemy członkom Towarzystwa łowieckiego i czytelnikom „Łowca“ w dniu otwierającej się, mgłą zakrytej przyszłości, szczere i serdeczne:

**Szczęść Boże!**



# ZWIERZĘTA ŁOWNE.

## WYDRA.

(Głównie według Brehma).

Zwierzę to na szczególną zasługuje uwagę z wielu względów, a szczególnie dla swej drapieżności. Rybactwo stawów, jezior i rzek nie może wydawać pomyślnych plonów, gdy wydra w nich w znaczniejszej przebywa liczbie. Czem wilk, ryś, lis w lesie, tem wydra na wodach. Czyni ona niezmierne spustoszenia, tem groźniejsze, że niszczy ryby nietylko dla zaspokojenia głodu, lecz także z naturalnego popędu do rozboju, a nie trzyma się stale jednego miejsca, lecz przebiega dalekie przestrzenie nieustannie w drapieżnej czynności. Mniej dla swej szkodliwości, jak raczej dla cennego futra, bywa przez myśliwych uprawnionych i nieuprawnionych poszukiwaną i wybijaną, ztąd nigdzie w większej nie znajduje się liczbie. U nas również należy do rzadszych zwierząt, a od chwili sankcyonowania ustawy rybackiej winna być tępioną bezwzględnie, szkoda

bowiem, jaką w rybostanie przynosi, nie pozwala oszczędzać jej. W celu umiejętnego tępienia należy dokładnie poznać naturę i tryb życia tego drapieżnego zwierzęcia, oraz sposoby, jakimi najodpowiedniej tamę jej szkodliwemu działaniu położyć można — i to jest celem tej rozprawy. Oprzemy się w tej pracy naszej na podaniach badaczów przyrody, leśników i myśliwych, którzy złożyli rezultaty swych spostrzeżeń, wzywamy oraz naszych myśliwych, by swoich uwag w tym przedmiocie „Łowcowi“ udzielali. Pożytek ztąd wyniknie dla rybactwa krajowego, do którego podźwignienia przyczynić się jest naszym obowiązkiem.

---

Wydry *(lutrina)*, twierdzi Brehm, należą do rodzaju kun, Liczba ich wynosi około dwudziestu. Cechują się one korpusem wydłużonym, płaskim, na małych, naprzód wystających, spoczywającym nogach, płaską, tęponosą głową, małemi, wypukłemi oczami, okrągłem uchem, szerokiemi błonami (płetwami) między palcami, długim, ostrozakończonym, mniej lub więcej spłaszczonym ogonem, krótkim, twardym, połyskującym włosem. Przednie i tylne nogi mają po pięć palców, dwa średnie małe dłuższe, jak boczne. U nasady ogona nie ma worka śluzowego, ale są dwa otwory, przeznaczone do wypróżniania. Co do budowy kości i pyska podobne są wydry do kun, ostatni jednak górny ząb trzonowy jest wielki i czworokątny, a na szkielecie oznacza się wybitnie płaska czaszka z szerokim mózgiem, zwężoną skronią i ściętym nosem. Wydry przebywają w rzekach i morzach, a rozmnażają się, prócz Nowej Holandyi i najskrajniejszej północy, prawie we wszystkich częściach świata. W ostateczności tylko opuszczają wody i to jedynie w tym celu, aby przejść do innych. Pływają i nurkują wybornie, długo wytrzymują pod wodą, biegają mimo swych krótkich nóg dosyć szybko, są silne, odważne, zuchwałe, roztropne i łatwe do oswojenia, żyją wszakże wszędzie w niezgodzie z człowiekiem, ponieważ wyrządzają znaczne szkody i dostarczają mu nader cennego futra. Oto ogólna charakterystyka wydry, przejdźmy do szczegółów.

Europa posiada tylko jeden gatunek wydry *(lutra vulgaris, mustela, viverra lutra, lutra nudipes)*, wydrę wodną, 1.2 metra długości, z czego przypada 40—43 cm. na ogon. Głowa jej jest podłużno-okrągła, nos okrągły, oko małe, ale żywe, krótkie, zaokrąglone ucho naskórkiem zamykające się, zupełnie prawie ukryte w włosie, korpus dosyć wysmukły, ale płaski, ogon mniej lub więcej okrągławy, w zakończeniu mocno zwężony, nader krótkie nogi, których palce połączone są z sobą płetwami, sięgającemi aż do pazurów. W dosyć krótkiej i bardzo płaskiej czaszce jest tylna część nader rozwinięta i szeroka, skroń nie wiele niższa, jak ciemię, nos zaledwo się znaczący. Charakterystycznem znamieniem jest naga, siatkowata skóra u kończyn nosa ponad owłosionym brzegiem warg, a po bokach otwierają się podłużne, łukowate nozdrza. Kształt tego pola nosowego ważnym jest pod względem odróżniania gatunków wydr i dał powód do odszczególniania osobnych podgatunków. Ciało pokrywa gęsty, krótko przylegający, twardy, ostry, błyszczący włos, górny ciemno-brunatny, barwa jego jaśniejszą jest nieco tylko u spodu i przechodzi na szyi i po bokach głowy w białawo-brunatną barwę, ukryty zaś w włosie brzeg ucha jest jasno-brunatny. Jasna, zatarta biaława plama występuje ponad środkiem wargi dolnej, a odosobnione, nieregularne, czysto-białe plamki znajdują się na pysku i na podgardlu. Włos w zimie ciemniejszy. Skóra tak silna, że pies kości pogruchota, ale dziury w niej nie zrobi. Włos więcej elektryczny jak u żbika, za życia wilgoci nie przepuszcza. Wargi grube, wyrzucone, zwierają się tak silnie, że wody nie dopuszczają, przyczynia się do tego także budowa szczęk. Szyja krótka, niekształtna. Ogon długości połowy korpusu, w końcu zaostrzony, w pochodzie nieco na bok dotykający ziemi. Łapy silne, wątroba wielka. Samiec ma u odchodu dwa gruczoły z wstrętnie woniejącą cieczą, po wysuszeniu piżmową. Samica wysmuklejsza, jaśniejszej barwy, ma cztery sutki. Nos przytępiony, obrosły na trzy cale długimi wąsami. U nóg ostre pazury. Zębów ma 36, 6 przednich u góry i u dołu, po 2 kły u wyższej i dolnej szczęki i po 10 trzonowych w obu szczękach, z tych 3 przednie w górze i w dole z obu stron fałszywe. Na lądzie wolno się porusza, pływa wybornie, w wodzie wytrzymuje długo bez oddechu. Wzrok wyborny, niemniej powonienie i słuch. Płochliwą jest, ale nie lękliwą, broni się bowiem wściekle, psu zmiażdży łapę jednym chwytem. Głos wydaje syczący, zadowolona mruczy, zła lub zraniona skrzeczy. Żyje lat 14—16.

Wydra zamieszkuje całą Europę i znaczną część Północnej i Średniej Azyi, a mnoży się ku wschodowi aż do ujścia Amuru. W krajach polarnych nie daleko sięga ku północy, lubo pojedyńczo żyje jeszcze w Laponii, w Syberyi dochodzi tylko do koła polarnego. W Indyi, Chinach i Japonii zastąpioną jest przez ród pokrewny, w Afryce i Ameryce przez takie, które obecnie do podgatunków zaliczane bywają. W średniej i południowej Europie mieszka we wszystkich żeru dostarczających wodach, również w rzekach i strumieniach najbardziej zaludnionych krajów. Wydra przedewszystkiem lubi rzeki, których brzegi na dalekich przestrzeniach pokryte są lasem. Tu mieszka w podziemnych norach, które wygrzebuje według swego obyczaju. Wejście znajduje się zawsze pod wodą, zwykle w głębokości połowy metra. Ztąd podnosi się nora około dwóch metrów długa ukośnie w górę i wiedzie do obszernej kotliny, wyścielonej trawą i zawsze suchej. Drugi wązki chodnik prowadzi z kotliny ku brzegowi i dostarcza powietrza. Zwykle używa wydra przez wodę spłukanych dziur i jam brzegowych, które grzebaniem i rozgryzaniem korzeni wydłuża i rozszerza, rzadko wchodzi do opuszczonych jam lisich lub borsuczych, gdy one niedalekie od wody. Zawsze ma kilka mieszkań, chyba że jakie wody nadzwyczajnie bogate są w ryby, że przeto nie jest zmuszoną do dalszej wędrówki. Przy wysokim stanie wody, która chodniki jej zalewa, ucieka na stojące w pobliżu drzewa lub w pnie wydrążone, i tu szuka odpoczynku po swych wycieczkach wodnych. O ile wydra z powodu wyrządzanych szkód sprawia umartwienia posiadaczom rybołowstwa i namiętnym wędkarzom, o tyle pociągającą jest dla badaczów. Życie jej jest tak odrębne, że osobnego wymaga badania i że przeto każdego, nie doznającego od niej szkody, musi ściągnąć uwagę. W wydrze wszystko jest ciekawe, jej tryb życia, jej ruchy, szukanie żeru, jej duchowe usposobienie. Że jest prawdziwem zwierzęciem wodnem, jawnie się okazuje nawet gdy ją na lądzie znajdujemy, chód jej jest jak węża pełzający, ale nie powolny. Po śniegu i lodzie posuwa się często dosyć daleko, przyczem w pomoc jej idzie tłuszczem przejęty włos, a nierzadko pomaga w tem silny jej ogon. Wtedy szeroki łeb bywa spuszczony, grzbiet nieco wygięty, i tak sunie się i przemyka w dziwny zaiste sposób. Nie należy jednak ztąd wnosić, że jest niezręczną, zwinność korpusu okazuje się nawet na lądzie, zdoła ona ciało z łatwością wyginać zwracać gdzie chce, i może bez wysilenia wznosić się, kilka minut pozostać w takiej pozycyi bez zachwiania równowagi, okręcać się wprzód i w tył, zwijać się, podnosić lub zniżać. Tylko w twardej ostateczności wpaja pazury w ukośnie rosnące



Wydry żerujące.

drzewa, niezgrabnie drapiąc się na nie. Inaczej porusza się w wodzie, swej przyrodzonej siedzibie, do której umyka zawsze, gdy jakiekolwiek grozi jej niebezpieczeństwo. Budowa jej korpusu nadaje się wybornie do pływania i nurkowania, korpus ten wężowaty i szeroki, z krótkiemi, płetwówką opatrzonemi nogami, silny i dosyć długi ogon, gładki i ślizgi włos posiadają wszelkie właściwości, ułatwiające szybkie przepruwanie wody. Do pochwycenia zdobyczy służą silne i ostre zęby, nie wypuszczające przedmiotu, choćby był najbardziej gładki i ślizgi. W czystych wodach jezior alpejskich lub w morzu nadarza się nieraz sposobność widzieć działanie wydry. Płynie tak wybornie we wszystkich kierunkach, że ryba przez nią prześladowana z największem tylko wysileniem umknąć zdoła, i gdyby nie potrzeba wypływania na powierzchnię wody w celu zachwycenia powietrza, żadna ryba by nie uszła. Obojętne to dla wydry, czy płynie z prądem, lub przeciw niemu, czy ma się zwrócić w bok czy w tył, każdy bowiem ruch jest nader łatwy. Pływa na boku, to znowu przewraca się jakby dla przyjemności na grzbiet, przyciska łapy do piersi i popycha się tęgi kawał ogonem. Szeroki łeb jest przytem w nieustannym ruchu, a wtedy wężowatość zwierzęcia jest najbardziej widoczna. Nawet po dłuższem przebywaniu w wodzie włos pozostaje gładkim i suchym. Twierdzą niektórzy badacze, iż w nocy szybko się poruszając, wydaje z siebie światło elektryczne. Warstwa wody, w której wydra płynie, łatwa do rozpoznania, wydobywają się bowiem z niej bańki powietrzne, a powierzchnia włosa wydry okryta jest takiemi drobniutkiemi bańkami. W zimie, gdy wody zamarzną, szuka wydra przyrębli, w nich się zanurza, w nich też szuka powietrza. Takie przyręble umie niechybnie znaleźć, umie też dawniej znane odszukać. Otwór może być tylko tak wielki, aby mogła nos wystawić w celu zachwycenia powietrza, to już wtedy zmarzła woda odpowiednią jest dla jej łowów. Na wolności rzadziej głosem się odzywa, jak w niewoli, w której łatwiej ją podrażnić. Gdy się czuje swobodną, wydaje z siebie lekkie jakby chichotanie, głodna lub pobudzona do żerowania wrzeszczy głośno często po sobie następującem „girk“ tak przeraźliwie, że razi ucho, w gniewie skrzeczy mocno, w zalotach świszcze donośnie. Zmysły wydry są ostre, widzi, słyszy i wietrzy wybornie. Z odległości kilkuset kroków spostrzeże zbliżanie się człowieka lub psa i natychmiast umyka do wody. Nieustanne prześladowania, jakim podlega, uczyniły ją płochliwą, ostrożną i podstępną, ztąd też całymi dniami można czatować na nią i nie dostrzedz. Wprawdzie zdarzy się czasem spotkać ją po za legowiskiem i nie w wodzie, wygodnie rozłożoną na jakiem starem drzewie, wygrzewającą się na słońcu, nawet do tego stopnia nieoględną, iż może być przez podsuwającego się człowieka ubitą, ale to są nader rzadkie wypadki. Zwykle wychodzi dopiero z zachodem słońca na połów ryb i łowi je przez całą noc, najchętniej w jasną, księżycową. Z powodu tych łowów zbliża się do mieszkań ludzkich na kilka nawet kroków, przebiega regularnie miejscowości leżące nad większemi rzekami i strumieniami, bez pozostawienia po sobie śladów. W potrzebie wykopuje sobie norę w pobliżu młyna. Jaeckel wspomina, że pewien młynarz zabił troje młodych, kilka dni mających wydrząt, w pobliżu swego młyna, i przywodzi inne podobne wypadki. Stare wydry żyją zwykle odosobnione, ale stara samica włóczy się przez długi czas z swemi młodemi, łączy się z innemi samicami, lub podczas rui z samcami, i łowią ryby wspólnie. Płyną zwykle pod wodę i przebuszują rzekę nieraz na kilka mil dalej od swego mieszkania, przeszukują przytem wszelkie rzeczki, potoki i stawy, wpadające do rzeki głównej lub stykające się z nią. Z konieczności, gdy je dzień zaskoczy, przebywają cały dzień na stawie gęsto zarośniętym, a w nocy dalej ruszają. W większych strumieniach, wpadających do rzek, nieraz o trzy i cztery mile się oddalają i wytępią często wszystkie ryby w stawie. Lubo wydra nie zdaje się być usposobioną do dalekiej wycieczki pieszej, to jednak przebiega ona czasem dalekie przestrzenie w celu przeniesienia z wyrybionych do bogatych w rybę wód, nie wstrzymują ją nawet, jak twierdzi Jaeckel, wysokie szczyty gór i z dziwną szybkością je przechodzi. W r. 1850 przeszła stara wydra, według spostrzeżeń leśniczego Sollachera z Staudach, na śniegu przeszło półtora metra wysokim, przez wyżynę dla kozic tylko dostępną, około 1460 metrów nad powierzchnią morza wzniesioną, aby najkrótszą drogą dostać się do bogatego w ryby strumienia, w dalekim Eibelsbach położonego. Musiała przytem drapać się przynajmniej trzy godziny na stromy i skalisty stok, a ze dwie godziny schodzić na dół po również stromem urwisku. Przekonał się o tem z zdziwieniem Sollacher na świeżem tropie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# PONOWA.

przez

Kazimirza hr. Wodzickiego.

Smutek i zniechęcenie ogarnia myśliwego, gdy Wszyscy Święci wilgotną mgłą, gdyby żałobą, otaczają całą przyrodę, i mimowoli nasuwa się myśl, że tam wysoko ponad chmurami panuje boleść z powodu drapieżności króla przyrody — człowieka. Dzień następny, zaduszny, pełen żałoby, łza perli się w oku, kirem myśli pokryte, widmo śmierci w pamięci, a w duszy modlitwa za tych, którzy już walczyć nie mogą. Ciągnie się żółwim krokiem Listopad, mgławy, ciemny, przypominający krainy nad Białem morzem, nie ujrzysz uśmiechu na niebie, promieni światła spadających na obumierającą przyrodę, bo świat cały sposępniał, jakby w przededniu walki niszczącej. Las smutny, ponury, jęczący bez przerwy w dzień i w nocy, wichry targają gałęziami, rwą zwiędniałą ozdobę letnią drzew, podnoszą liście z ziemi, roznoszą, składają w wały lub w kupy, rozszalałe burzą znowu to swoje dzieło i rozmiatają je, wreszcie prą owe tumany w gąszcz, w zwarte krzewy, wyją, huczą, szumią, głoszą hymnem piekielnym swoje zwycięstwo. Jakaś zgnilizna szerzy się w powietrzu, drzewa, krzaki, pnie i łomy przybierają postać nam nieznaną, niekiedy straszną, to znowu zagadkową, jakby stały w obłokach. Łzawem okiem patrzysz w ten świat zamknięty, nic wyraźnie dostrzedz, nic rozróżnić nie możesz i mimowoli myśl rwie się ku gościnnemu zaciszu. Ucichły miłe ptaszęta, płochliwy zając trwożony spadającym i roznoszonym liściem pomknął w pole, lepiej mu, gdy zimny wicher go przejmie, woli marznąć, jak

doznawać śmiertelnego strachu w lesie. Lis wypasiony na rabunkach, spełnianych bez trudu i wysilenia, dbały o suche futro, zamieszkuje w swych jamach, unikając szkodliwej wilgoci. Sarny gromadzą się w stada i kupki na gody weselne, ostrożnością zapewniają sobie rozkosze, u rogaczy mgłą okryte podbrzusze, chodzą jakby w fartuszkach, często osłonięte rozkochaną sarneczką.

Dzień po dniu mija, każdy mglisty, ciemny, wiatrem wzburzony, myśliwy zniecierpliwiony wyczekiwaniem, chciwy strzału, w morderczem usposobieniu, rusza do lasu i każe gonić miot po miocie na miękkiem polu. Idzie gon, lecz strzału nie słychać, oczekiwanych postaci dojrzeć nie można. Niekiedy wymknie się siwy, leśny zając, zakołkuje, rozpatrzy a poznawszy grozę niebezpieczeństwa, wynosi się bokiem, lub też wiedziony rozumnem, instynktowem zuchwalstwem uderza na gońców i przebija się, pomny przestrogi matki, że o tej porze bezpieczniej w zimnem polu, niż w zaciszu leśnem. Nie jeden biały talerz błyśnie w ciemnych krzakach, ujrzysz nie jeden kabłąkowaty skok, tu i owdzie uroczą mordeczkę sarny z czarnym, szklącym noskiem, lecz to nie dla nas zwierzyna, ona, najrozumniejsza i najdoświadczeńsza w stadzie wysłana na rekonesans, ratuje bliskich i dalekich swego rodu. Głucho i pusto w koło, ów dla nas niedawno rajski las, przedstawia się nam jakby cmentarzysko. Próżne wysilenia, uciekaj do domu męczenniku Diany, pomnij o mglistem świetle, pobudzającem do smętnych marzeń, paraliżującem pracę umysłową, broń się przeciw filtrującej się wodzie zimnej w twoim szpiku, przypominającej w butach polowanie na kszyki, porzuć mglisty, zaczarowany las, sięgaj myślą w przyszłość i ciesz się białą zimą, która wreszcie ustalić się musi.

Zaturkotał Grudzień i od zachodu suną chmury ciemne, jedna za drugą goni, łączą się i rozdzielają, płachta za płachtą w dziwacznych kształtach, to większa, to mniejsza, a wszystkie pędzą jednym szlakiem na wskazane miejsce, aby spełnić swe przeznaczenie. Już się zetknęły, burzą się i kłębują, jasne chmury mącą się z ciemnemi, w końcu staje nad nami ołowiane niebo, ciemne, mgliste i złowrogie. Wnet górny wicher spuszcza się ku ziemi, zaszumiał, począł miotać wierzchołkami drzew, zwilgotniał, i jakby z bezdennego miecha sypie lodowatą mączką. Miliardy śnieżnych atomów, na wyścigi unoszone, czepiają się trawek, gałązek, lgną na zwiędniałych liściach, lepią się na konarach i pniach, i owe drobne, mokre ziarneczka zuchwały stawiają wiatrowi opór. Następnie powietrze chłodnieje, zmienia się w krupki, zasypujące ziemię, tocząc się ku wklęsłościom, ziemia poczyna bieleć, zachowując jeszcze pstrokaciznę oku miłą. Dzień się chyli ku wieczorowi, światło ciemnieje, krupki zamieniają się w gwiazdeczki śnieżne, to w płatki, goniące za sobą, łączące się w powietrzu, zanim spoczną na ziemi. Noc spuszcza zasłonę na to przeistoczenie, a ziemia w bieli cieszy się ciepłem okryciem na zimę. Ranek zawitał z niebem jeszcze pochmurnem, z potarganemi chmurami w rąbkach różowych, niekiedy rozdzielającemi się i okazującemi błękit niebieski. Słońce walczy z ruchliwemi chmurkami, tworzącemi zasłonę, usiłując przedrzeć tę tkaninę wodną i rozniecić światło, ale one, nieustannie w ruchu, wiatrem pędzone, jakby swawolne psotnice zabiegają słońcu drogę. Nieznużone w tych igraszkach, wstrzymują rozlanie się światła, aż wreszcie siłą światła i ciepła słońce rozpędza snujące się chmury, rozszerza swe jasne promienie, przeistaczając przyrodę w świat kryształowy, różnobarwnie połyskujący. Spuszcza swe światło na krzewy i drzewa, na trawy i rośliny, zamieniając je w klejnoty błyszczące. Wiatry pracą nocną znużone spoczęły w zaciszach, mróz ściska śnieg, żyjątka przerażone tą nową, lśniącą barwą przyrody, w zdumieniu pozostają nieruchome. Dzień mija spokojnie, śnieg osiada przylegając do ziemi, świeci swymi brylantami, mizdrząc się do słońca, wdzięczny za strojne szaty. Słońce się zniża, bledniej i kryje za górami.

Noc zapadła, cisza i spokój, z pierwszem promieniem słońca budzi się myśliwy, bieży do swej broni i z rozkoszą woła: św. Hubercie, kieruj, prowadź i wspieraj! Urocza to chwila, wyższy nastrój ducha, umysł pełen swobody, niecierpliwość drażni nerwy — poczyna się biesiada myśliwego! Z zaprzęganiem guzdrzą się ludzie, gońcy pomału się schodzą, jazda za powolna, droga nie utarta, do lasu daleko, dzień krótki, a żądza rozkoszy łowieckiej zbyt wielka, cóż dziwnego, że z każdą godziną wzmaga się gorączka. Lecz na tym świecie wszystko ma swój kres, cierpienia i rozkosze, smutki i radości, więc i gorączka wreszcie ostyga, gdy myśliwy stanie u zamierzonego celu. Las zapisany jakby książka, myśliwy czyta w niej, i dosyć tem czytaniem nasycić się nie może. Tu widzi dołeczki sznurkującego lisa, tam podwójne ślady, z dwoma dołkami zajączka, przerzucającego zadnie skoki poza przednie, dalej ślady swawolnych sarneczek, wreszcie głębokie koryto w śniegu, wyżłobione pochodem dzików. Słońce świeci rażącem światłem, każdy atom śniegu, to migający blaskiem brylant, gałęzie drzew zwisły pod ciężarem stężałego śniegu, krzaki stały się niekształtnemi bryłami, szpilkowe drzewa zamieniły się w piramidy, rośliny podobne do białych kręgli — a wszystko strojnie oświetlone, jakby na wielką uroczystość. Mysie króliki, owe drobne złotogłówki z sikorami, stróże i opiekunowie naszych lasów, trzepocą się lękliwie nad gałęziami, próbują siadać, ale boją się śniegu, żałośnie kwilą skarżąc się na złą dolę, w końcu głodem zmuszone, puchowym brzuszkiem śnieg strącają i poczynają spełniać dobroczynne posłannictwo, niszcząc zarodki szkodliwych owadów. Na wierzchołkach drzew rozsiadły się najedzone, puszyste gile, niby leśne korale wśród brylantowego śniegu, pyszne klejnoty w purpurę odziane.

Nizinka mała, drożyna wąska wije się wśród zaśnieżonych gęstych krzaków, na przodzie głęboki parów z ściętemi ostro ścianami, zawalony łomami, najeżony pniami, szczątkami olbrzymów już nieżyjących. Zachwycający obraz, leżą czarne kłody gdyby węże przedpotopowe, gładkie i nieruchome, dalej zwaliska najeżone sękami i suchymi konarami, zgniłe łomy, pniaki żałobne, a ponad niemi lśniące girlandy i śnieżne bukiety różnorodnych kształtów, ozdobione promienistem światłem. Zatrąbiono, huknęli gońcy, obudził się uspiony las, i znowu cicho, słychać tylko pojedyńcze głosy, poświstywanie, huk uderzenia w spruchniałe drzewa, gon się zbliża. Myśliwy wytęża uwagę, śledzi każdy ruch i wreszcie dostrzega ostrożnego lisa z kitą wlokącą się po śniegu, nadsłuchującego i wietrzącego, to siądzie i rozpatruje się, to skoczy na pniak, słucha, rekognoskuje, biegnie szybko, to znowu wolno, w końcu coraz wolniej podnosi nogi, instynkt wskazuje mu groźne niebezpieczeństwo, więc wykrada się z miotu. Za nim w ślad biegnie drugi lis zadumany i wielce zakłopotany, on nie słucha i nie patrzy, obwąchał ślad poprzednika, i na ślepo truchcikiem się wymyka. Na śnieżnej widowni kica kilka zajęcy

ku myśliwym, kołkują, myją pyszczki przednimi skokami, gdyby szczoteczkami, wysłuchują, lecz mąci im się w głowie, nie mogą rozpoznać kierunku wrzawy, ów siada pod krzakiem i śnieg wydrapuje, inny przywarował, trzeci siedzi i wąsami kręci, jeden zaś w szalonym pędzie przebiega drożynkę, wreszcie pierzchły wszystkie, przypisując ocalenie życia swemu sprytowi i przebiegłości. W zaśnieżonym gąszczu stają nieruchome dwie kształtne postacie, po chwili podniosły słuchy, nastawiły jak łyżki ku hałasowi i czarnym świecącym noskiem wietrzą. Jedna do drugiej się obraca, widocznie odbywa się narada, posuwają się wolno jedna za drugą, to znowu w skokach zbliżają się do myśliwych. Niedaleko od nizinki sarna zostawia rogacza w gęstwinie, z wytężonym wzrokiem, z szyją wyprostowaną, przechodzi drożynę, staje i piszcząc przywołuje oblubieńca, który z ufnością w skokach do niej dąży, wdzięczny za troskliwość o jego życie śród groźnego hałasu. Zaledwie leśne baletnice przeskoczyły drożynę, zwraca hałaśliwa sojka uwagę myśliwych, najeżyła czub, rozpostarła skrzydła, wrzeszczy przytuliwszy się do konara i patrzy w jedno miejsce. Co za widok niespodziany! Po za grubą kłodą wyrasta czarny olbrzymi pniak nieruchomy, przybiera dziwne kształty, widoczne w nim życie. Zadrgało serce, ręka konwulsyjnie ścisnęła broń, doświadczenie wskazuje postać odyńca. Powstał z barłogu, zgarbił się na kształt hyeny, przeciągnął się leniwie, zastrzygł uszami, podniósł szczeć grzbietu, nastawił czuba, ryj spuścił ku ziemi i słucha przez długą chwilę. Poznał grozę niebezpieczeństwa, nieraz już bywał w ogniu, najeżył się srożej, podniósł głowę, zwinął ogonek, fuknął, zapienił się, pokłapał szablami, prysnął pianą i wolno kroczy naprzód z ryjem ku wiatrowi wytężonym. Przed drożyną stanął, widocznie wietrzy ludzkie tropy, spuszcza głowę ku ziemi i stoi nieruchomy. Gąszcz zaśnieżony go osłania pancerzem, stoi, rozmyśla nad stanowczym krokiem, wreszcie jednym susem przeskakuje odkrytą drożynę, pada strzał, odyniec pędzi ratując życie. Myśliwy smutny, spuścił broń, westchnął i suchość czuje w ustach. Oko jego śledzi uchodzącego dzika, ale spostrzega na białem polu czerwone znaki, poskoczył gorączkowo, na tropie leży szczeć, dalej kropla farby, tam znowu żółtawa kapka ze śliną, radośne to odkrycie, bo z płuc ona wyszła, tchu mu brak, serce gwałtownie bije, biegnie i spostrzega smugę krwi. Poskoczył, zajrzał w gęstwinę i błogie ogarnęło go uczucie, gdy stanął koło olbrzyma, który się na bok położył, zajmując szeroką, zbroczoną przestrzeń, w ryju miał jeszcze gałązkę uszczkniętą w konaniu.

Oto dobrodziejstwa ponowy z niezliczonemi niespodziankami, powtarzające się i niewyczerpane, zawsze nowe, odmienne, a zawsze pełne niewysłowionej rozkoszy dla myśliwego.

# DO TARCZY O PANNĘ.

Fraszka myśliwska w dwóch aktach

PRZEZ

**Karola Brzozowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

## Akt drugi.

### SCENA I.

**Przedganek jak w pierwszym akcie. Towarzystwo siedzi przy stole, na jednym jego końcu kanonik, na drugim Stanisław, mający przy sobie Julię, służącą mu za krajczego.**

STANISŁAW. O łowach jakoś cicho... No, panie Damazy!
Tak milczącyś mi dzisiaj i odsuwasz zrazy.
Dziś wielkim byłeś łowczym, więc waszej przygody
Opowiedz nam z kolei wszystkie epizody.
Naprzód winszuję. Cudna, przecudna muzyka,
Bez ucięcia do końca! Lecz jakiego ćwika
Psy porwały na oko? Ha! wytężam ucho...
Teraz, teraz strzał padnie... jak głucho, tak głucho!

ADAM. Pierwszy zabiegłem — czasem zwierza się prześlepi,
(Z uśmiechem.)
Być może, lecz i drudzy nie widzieli lepiej.
Wziąłem burę, nikt skoro nie przyszedł do strzału,
Choć go psy podeptały — a więc do podziału
Burę mą składam.

KANONIK. W pańskiej ja staję obronie.
Golaźń miałem przed sobą, jak te moje dłonie.
Jeżelim ja przeoczył...

STANISŁAW. I w mojej kwiatarni,
Kędy zastęp zjajanej przewalił się psiarni,
Gdzie zwierza na grabionej tu prześlepić grzędzie?

ADAM. Długo jednak gorącej tak hecy nie będzie.
Przez wąwozy, rozdoły, trzciny, trzęsawice,
Na wyścigi się parły trzy nasze rusznice.
Naprzód! naprzód! grzmiał do nas koncert psów dobrany.
Jak rogiem Oberona w pięty połechtany,
Pędziłem coraz szybciej, upojon, omamion,
Zdało mi się, że skrzydła wyrosły mi z ramion,
Począłem towarzyszów zostawiać daleko...
Nagle nad jakimś stawem, jeziorem czy rzeką,
Gdym więcej się skierował słuchem, niźli okiem,
Po szyję w rudawisku widzę się głębokiem.
Gdym oburącz skwapliwie paproci się chwytał,
O krok mnie homeryczny śmiech panów powitał,
Skonał w gęstwinie. I nie dziw, któż kiedy ocala
Ugrzęzłego tak w porę w kałuży rywala?

ANTONI. I umiał pan się obejść bez cudzej pomocy,
Bo po chwili znów gnałeś jak rzucony z procy,
Słońce z wiatrem twe gliną oblepione stroje
Zmieniło w łuskowaną, twardą, pyszną zbroję,
Skrzyp i paproć u ramion jak husarskie skrzydła,
Coś niby półrycerza, niby półstraszydła!

ADAM. To i zgubne dla pana było to zjawisko.

ANTONI. Przyznaję, biegłem oślep, psy grały tak blisko,
Świerkowe na mej drodze leżały wywroty,
Gdym się przez te jeżowe przedzierał opłoty,

Nogi mi się splątały i runąłem w zawał,
Na rosochach mej poły zostawiając kawał.
ADAM. Właśnie wtedy nadbiegłem i widzę zdumiony,
Na konarze trzepoce się ptak zawieszony,
Półorzeł, półnietoperz, targnął się z łoskotem,
Padł, wrył się w ziemię — coś słyszę z pod ziemi
Jakby klątwę, aż tu, o dziwy, mospanie,
Z pod wywrotu ktoś wstaje w króciutkim kaftanie,
O rękawach z wylotem, po żebrach się maca...
Chciałem biegnąć z pomocą, lecz czy strzelec wraca,
Kiedy pieski tak grają? Zresztą któż ocala
Tak w porę zapadłego w wywroty rywala?
STANISŁAW (śmiejąc się). O, panie, to za ostra serc ludzkich krytyka!
ADAM. Ha! wet za wet! Damazy, teraz twoja tyka.
Mogłeś śmiać się ze wszystkich, i prawdziwie szkoda,
Że i ciebie pocieszna spotkała przygoda.
DAMAZY. Przyznaję, żem się w duszy wyzyskać gotował,
I trzcinowe kąpiele i świerkowy pował.
A co więcej, jedyny ja miałem nadzieję,
Choć zobaczyć, zwierz jaki wodził nas przez knieję.
Bo gdy psy jak szalone grały, a na oko,
Ku chmielnikom się biorąc ja pędzę co siły,
By dopaść kurhanka, skąd widać szeroko.
Przesadziłem trzy rowy i blisko mogiły
Biegnąc co tchu przez piaski zarosłe dziewanną...
STANISŁAW. Przez piaski przy chmielniku? O najświętsza
Tam jest wilczy dół stały!
DAMAZY. I dyablo głęboki!
Rozumiem niespodziankę wilka, gdy w dół wpadnie.
Sądziłem z razu, że się wydobędę snadnie,
Gdzie tam! próżno się kwapię — a, piękne widoki!
Bóg wie jak długo siedzieć w tej jamie przeklętej!
Szukam trąbki — trok tylko z obrączki połową,
Krzyczeć? mógłbym do jutra krzyczeć ochrypnięty,
Kto mnie usłyszy? Aż tu na szczęście nad głową
Ktoś frajszyca zagwizdał — aż lżej odetchnąłem,
Pan Adam przyniósł tykę — wnet byłem nad dołem.
JULIA. Widzę, każdy się z panów doskonale bawił.
ADAM. Pomnik bym sobie nawet dziś sławy postawił,
Gdybym mą dubeltówkę wziął był z karabinem.
Strzał był tylko na kulę.
DAMAZY. Więc pan widział przecie,
Co psy goniły? Czemuż to trzymać w sekrecie?
ANTONI. Cóś nakształt...
ADAM. Przeoczenia?
ANTONI (biorąc kieliszek z uśmiechem). Zapijmy to winem.
Zdrowie myśliwych!
ADAM (pijąc). Zawsze wychylę to zdrowie.
Nie o zwierza — o gęsi chodziło, panowie.
Kroków dwieście niespełna...
DAMAZY. A to szansa rzadka.
ANTONI. Panie, z tej mety zmiecie każda lufa gładka.
KANONIK. Ho! ho! toż i ja czasem, czasem nieźle strzelę,
Lecz z gładkiej kroków dwiecie — to żądać za wiele.
ADAM. Tak sądziłem.
DAMAZY. Darujcie, wam trzeba expresów.
ANTONI. My wieśniacy nie znamy tych wszystkich procesów,
Z tej samej u nas strzelby kszyk i niedźwiedź pada.
STANISŁAW. Jest w tem i prawdy nieco, lecz jest i przesada,
Odległość odległością.
DAMAZY. Tak, od pewnych granic.
Co do mnie, utrzymuję, że kniejówka za nic,
Jeśli o kroków dwieście kulą nie uderzy.
A kula pójdzie prosto, gdy się prosto mierzy.
Ja z mojej, ot niedawno, przeszło kroków trzysta
Ubiłem wronę
KANONIK. W mecie zmyłka oczywista.
DAMAZY (z przyciskiem). Z okna przez sad ubiłem wronę na parkanie!
ANTONI. Czyś Damazy o moim zapomniał bocianie?
DAMAZY. Strzał mistrzowski!
IGNACY (cicho do Julii). Julciu, już ich mamy w ręku.
STANISŁAW. Słyszałem dziś chrustówkę o cudownym dźwięku.
Jakiej dziwnej harmonii rozlewał się strumień,
Co chwila w zadumienia rzucał mnie z zadumień!
Wszystkie knieje, ostępy w oczach moich stały,
Z głębią swoją i czarem świat łowiecki cały,
Dreszcz radości mnie wstrząsał, wzrok mi łzami błysnął,
Słuchałem i słuchałem, aż ból serce ścisnął,
Że to świat już nie dla mnie! Kto tak grał?
ANTONI (z przymusem). Pan Adam.
STANISŁAW. Na czoło twoje wieniec zasłużony składam
W tem zdrowiu, w którem razem zdrowie jeźdźca piję!
KANONIK. Vivat, vivat lat setkę!
IGNACY. Niech żyje!
ANTONI i DAMAZY. Niech żyje!
STANISŁAW. Znacie wszyscy cel łowczej dzisiejszej wycieczki.
Dałem słowo, dotrzymam, o to nie ma sprzeczki.
(Do Damazego i Antoniego.)
Co sądzicie panowie o owej pogłosce,
Która nagle tu w każdej rozbiegła się wiosce,
Że pan Adam nie strzelec?
DAMAZY. To plotką być może.
STANISŁAW. Lub nie? A więc i światła nie ma jeszcze w sporze.
ANTONI. I słusznie. Gdyby nie te gończe opętane,
Mielibyśmy pytanie jasno rozwiązane.
DAMAZY. Więcej gonić nie będą.
ADAM. Zemsta to bez racyi.
Czy nie może być w nosie psim halucynacyi,
Gdy w mędrców bywa w głowie?
DAMAZY. Co to znaczy, panie?
ADAM. Na próby wystawiony, i ja stawiam na nie.
Dowiodłem, że na polu odwiatrowej sztuki,
A to łowca się tyczy, są tu dewne luki.
KANONIK. A daj mi tę receptę, mój panie ty złoty!
Cha! cha! cha! gończarzom toż narobię psoty!
ADAM. Z przyjemnością. To odwiatr nadzwyczajnie silny,
Po trzech godzinach jeszcze bywa nieomylny.
Ciągnąć na sznurku w trzcinach, wąwozach, chmielniku...
KANONIK. I kazać psom pazury drzeć na gołębniku.
Cha! cha! cha!
STANISŁAW (śmieje się). A cóż teraz na to strzelcy młodzi?
DAMAZY. Koń, trąbka i recepta jeszcze nie dowodzi,
Że pan Adam jest strzelcem.
ADAM. Jako prawnik
Przyznaję panom słuszność.
STANISŁAW. Więc nowy egzamin?
Ha! z chęcią wam poświęcam panowie mój trawnik,
Tylko proszę o litość dla moich balsamin.

ANTONI. Mamy cietrzewie.
ADAM. Stadem rwą się już z daleka!
Farbówek przeszła pora.
DAMAZY. Są kszyki na błotach.
ADAM (na stronie). A to się w pięknych nagle znalazłem obrotach!
(Głośno.) I owszem, i owszem!
(Na stronie.) Porażka mnie czeka.
(Głośno.) Ale nie dzisiaj.
ANTONI. Jutro!
ADAM (na stronie). Jak się tu wywinać?
(Głośno.) Jutro! (Na stronie.) Dunaj przebywszy, na Dunajcu zginąć!
(Wstają od stołu i różne zabierają miejsca. Ignacy daje znak Julii.)

SCENA II.

(Ciż sami.)

JULIA (staje przed wózkiem Stanisława).
Przyrzekłam, drogi stryju, że dziś wybór zrobię,
Więc szczerości wielbiciel, przebaczysz i mojej.
Każda zwłoka, niepewność, duszę niepokoi,
Więc żeby jej uniknąć, myślę o sposobie.
Wola stryja mojego znana wam panowie,
Świętą jest dla mnie — tak świętą, bo w słowie,
Co pozornie ścieśniając przyszłość mą rozsądza,
Gorąca szczęścia mego maluje się żądza.
Tak! jeżeli mnie pragnie strzelca widzieć żoną,
To dlatego, że wierzy, iż myśliwych grono
Jest jak legia, jak zakon, który silnie sprzęga,
Prócz zabawy rycerskiej, moralna potęga.
STANISŁAW. Tak, tak!
KANONiK. Tak!
JULIA. W tym zakonie spotkasz orle oko,
I orle znajdziesz skrzydło, krążące wysoko,
I pierś oddechającą swobodnie, szeroko;
W tym zakonie, co rośnie w miłości przyrody,
Pod zimy nawet śniegiem umysł wiecznie młody.
Tu odwaga, wytrwałość, tu bratnia ofiarność,
Towarzyskość bez więzów i bez więzów karność.
A jeśli łowiec w kniejach za rozkoszą goni,
Dowiódł, że je krwią własną zasłania i broni.
I powiedz stryju drogi, gdzie szukać kobiety,
Coby zimną na wszystkie te była zalety?
Więc spełnię wolę twoją ochocza, skwapliwa,
Bo wiem, że ją spełniając, muszę być szczęśliwa.
Lecz jeśli brać rycerza, to najdzielniejszego!
Jeśli strzelca być żoną — to najzręczniejszego!
STANISŁAW. A niechże cię uścisnę złoty oratorze!
KANONIK. A tożto są brylanty w tej świetnej perorze!
Nie prawdaż, że brylanty, panie adwokacie?
Na wymowie przeróżnej najlepiej się znacie,
Nie prawdaż, że to nastrój jakiś magistralny?
ADAM (zimno). Świetny to wywód! (Na stronie.) Jakiż cios dla mnie fatalny!
STANISŁAW. Słuchamy cię więc dalej.
JULIA. Stryju, wczoraj z rana
Czytałam ci poemat z Czarnolesia Jana.
STANISŁAW. Tak, szachy.
JULIA. Pokrewieństwo mego położenia
Wpadło mi w oko, tylko rodzaj gry się zmienia.
Tam szachy, tu rusznice, tam mat, a tu kula;
Niech tarcza da mi męża — a to strzałów króla.
IGNACY. Brawo Julciu!
STANISŁAW. Ha, zgoda! pomysł wyśmienity.
(Na stronie).
Przyznam się, teraz jestem całkiem z tropu zbity.
ANTONI (do Damazego cicho.)
Patrz, jak pobladł adwokat.
ADAM (na stronie.) Już wolałbym błoto!
JULIA. Jako cel niech posłuży panowie wam oto
Ten puhar kryształowy. Dwieście kroków meta,
I zwyczajne kniejówki. Dalszych ja kobieta
Już nie kładę warunków, nie znam praw strzelnicy,
Niech sobie je ułożą sami zapaśnicy.
DAMAZY. Dwieście kroków, w ten puhar? To nie śrótem bekas.
KANONIK (na stronie.) Odłożenie zaręczyn *ad calendas graecas*.
ANTONI. Kroków dwieście, czyż można?
ADAM (z uśmiechem.) A to szansa rzadka!
Z tej mety kulą zmiecie każda lufa gładka.
JULIA. Dziękuję, żeś pamięci przyszedł w pomoc panie!
Bo właśnie to mi strzelców doświadczonych zdanie
Metę strzałów wskazało, choć przytem wyznaję,
Że może jestem stronną, szans za wiele daję
Dla pańskich zapaśników.
IGNACY (na stronie.) W własnej siedzą matni.
STANISŁAW. Zaprawdę, mój Damazy, ten twój strzał ostatni
Z okna przez sad — o widzę, przeszło kroków trzysta,
A tož twoja wygrana zda się oczywista!
ANTONI. Czy na przypadek, gdyby dosyć liczne strzały
Nieco za wielką długość mety okazały,
Coś z niej skrócić nie można?
ADAM. Ciągną mnie puhary,
Wyznaję, jako strzelca, lecz do próżnej czary
Przybliżać się, o nigdy! (Na stronie). Choć miną nadrobić.
JULIA (z uśmiechem). Każda rusznica kulą o dwieście uderzy,
A kula pójdzie prosto, gdy się prosto mierzy.
Prawda, panie Damazy?
IGNACY. Czas szranki sposobić.
ANTONI i DAMAZY. Kul nie mamy.
STANISŁAW. U mnie jest tam ich pół wora,
Będzie, będzie czem strzelać, choćby do wieczora.
A teraz tym puharem, nim go strzaska kula,
W kolej zdrowie przyszłego, szczęśliwego króla!
(Oddaje puhar w ręce prałata.)
KANONIK. Jak każdy chętnie zdrowie przeciwnika pije,
Sądząc, że pije własne. Niech zwycięzca żyje!
IGNACY. Do strzelb, panowie, ja słupek przyrządzę,
Tu w stronę ku jezioru najbezpieczniej sądzę.
STANISŁAW. Tu chyba czaplę starą w trzcinach spłoszy kula,
Niech sobie świszcząc, sycząc, choć pół mili hula.
(Ignacy i trzej zapaśnicy odchodzą.)

SCENA III.

(Służba zbiera stół.)

JULIA (do kanonika, siedzącego przy Stanisławie).
Uroczysta się dla mnie oto chwila zbliża,
Troskę moją i trwogę składam u stóp krzyża.
Pomódl, pomódl się za mną.
(Pochyla głowę na ramię Stanisława.)
Gdybym kiedy miała
Zmartwić cię, a wiedząca...
STANISŁAW. Ty, gołąbko biała?
JULIA. Przebacz, a potem rękę połóż na mej głowie,
Błogosławiącą niechaj widzą aniołowie

I uproszą u Pana szczęście dla sieroty,
Którą ty tak skarbami przykułeś pieszczoty,
Że nawet w świat wabiący młodzieńczymi snami
Idąca wstecz pogląda i zalana łzami,
Zatrwożona się pyta, czy ten świat opłaci
I spokój i to niebo, które tu utraci?

(Ignacy wchodzi z ogrodnikiem i w głębi sceny zakopuje słupek, a za nim stawia tarczę białym papierem okrytą, skończywszy odchodzą.)

KANONIK. Wznieś dziecię jasne czoło, będziesz nam szczęśliwa,
Węzłów takiej wdzięczności niebo nie rozrywa,
Więc przez długie ci lata ogrzewać pozwoli
Sercem te piersi.

STANISŁAW (wzruszony). Amen! modłom twoim gwoli.

(Strzelcy zapaśników wnoszą stolik, strzelby i przybory do strzelania.)

Julciu, masz klucz, poszukaj, w skrzyni mahoniowej
Mam wszystko, jakbym (wzdycha)... jest tam wór irchowy,
To ich kaliber. Idź Janie, panna nie udźwignie.

(Julia z Janem odchodzi.)

A teraz, powiedz ojcze, zanim los rozstrzygnie,
Z kim twe życzenie?

KANONIK. Szczerze mówiąc, z Adamem.

STANISŁAW. I moje, bo pociąga już obliczem samem,
I gdyby nie te baśnie...

KANONIK (z uśmiechem). I to wasze słowo...
Lecz już to panna Julia naprawiła głową,
Bo choćby nie był strzelcem, przecie o nią strzela.

STANISŁAW. Prałacie! to broń w ręce dać nieprzyjaciela,
Na pastwę oddać strzelcom...

KANONIK. Co się tak schwytali
W przechwalstwa samołówkę.

STANISŁAW. A co będzie dalej?
Przypadek...

KANONIK. Kroków dwieście, nim kula zbłąkana,
Światami gdzieś idąca, dotknie roztruchana,
To się młodzież napuka, nastrzela, napali,
Aż wszystkim: „dosyć tego!“ zawoła panienka,
Komuś rzeknie: „Niezręcznyś, lecz oto ma ręka.“

STANISŁAW. To być może. (Na stronie.) I słowo moje ocalone.

SCENA IV.

(Wchodzą Ignacy, trzej zapaśnicy, po chwili Julia, za nią Jan z workiem kul, który kładzie na stole.)

IGNACY (daje Janowi puhar i butelkę).
Do puhara mi przelać wino to czerwone,
Odbity na tle białem czysto stanie oku,
Ułatwień tu nie można wypuszczać z widoku.
A teraz metę mierzyć proszę was panowie.

JULIA (idzie do wózka stryja. Na stronie):
Co w biednem sercu mojem, jakiż głos wypowie?

STANISŁAW. Czy nie godzien podziwu ten nasz pan Ignacy,
Jak wszystko przewiduje, jaki skrzętny w pracy?
A pewny jakby strzelec. — Stawia do szerega...

IGNACY (do ustawionych w linii).
Liczyć razem: raz, dwa — marsz!

(Szereg postępuje.)

ANTONI (do Adama). Pan naprzód wybiega!

ADAM. Czterdzieści pięć, sześć, siedm — to krok mego chodu.

DAMAZY. Sto jeden, dwa, trzy... (Do Adama.) Panie, pan wyjdziesz z ogrodu!

ADAM. To jest mój krok zwyczajny.

KANONIK. A to spór ciekawy!
Ci wyraźnie krok kurczą, a ten krok wyciąga.

ADAM (mijając siedzących).
Sto dziewięćdziesiąt dziewięć...

ANTONI. Czy pan nam urąga?
Tu kroków dwieście.

STANISŁAW. Z tej wyjść bardzo łatwo sprawy,
W pół różnicę rozdzielmy.

KANONIK. I spór rozstrzygniony.

(Na stronie.)

Targ o kilka kroków, gdy o trzysta wrony.

IGNACY. A więc tu palik wbijam.

(Wbija palik.)

A z tej rączki białej
Dowiemy się, z kolei jakiej pójdą strzały.

(Daje Julii trzy zwite kartki.)

STANISŁAW (do Adama). Więc proszę jako gościa.

ADAM (bierze kartkę nieco naprzód wysuniętą, rozwija).
Moim losem trójka.

ANTONI. Moim jedynka.

DAMAZY. A więc moim będzie dwójka.

STANISŁAW. Przed strzałem zdrowie panny czarką z mojej dłoni.

ANTONI. Na cześć Pani!

KANONIK. Na czoło krzyżyk i do broni!

(Dokończenie nastąpi.)

# Z DZIEWICZEGO KRAJU.

PRZEZ

**Władysława Czaplickiego.**

(Ciąg dalszy.)

Zgromadziło się u niego około 40 ludzi uzbrojonych w strzelby (gwintówki), topory, kosy, widły żelazne i t. d. Gospodarz domu ukrył wszystkich na wyznaczonych stanowiskach i na dany znak wszyscy razem mieli uderzyć na niego. Niedźwiedź rzeczywiście nadszedł, przelazł parkan i nie spodziewając się napadu i takiej zasadzki, krok za krokiem szedł powoli wprost do ula. Gdy dla codziennej operacyi podniósł się już na dwie łapy, ozwało się umówione hasło i to tu to ówdzie ukryci ludzie poczęli wychodzić, oglądając się bojaźliwie jedni na drugich. Skoro tylko niedźwiedź posłyszał jakiś szelest, odwrócił się zaraz z niesłychaną szybkością i wydawszy z siebie jedno krótkie, urwane ryknięcie, rzucił się na największą grupę napastników. Niestety ryknięcie to jedno było tak straszne, tak znamionujące groźny gniew Michajła, że zanim niedźwiedź zdołał dopaść do grupy, pierzchnęli już wszyscy. Mądre jednak zwierzę

*

obawiając się zapewne ponownego ataku, uważał za stosowne pójść za ich przykładem, z wielkim bowiem pospiechem dopadł parkanu, z chyżością kota wylazł na niego i zanim owi nie bardzo waleczni napastnicy zdobyli się po dłuższej naradzie na ukazanie się ponownie na widowni spodziewanego boju, zniknął bez śladu, tejże samej jednak nocy, gdy właśnie i ja nocowałem w Kieneczuku, powtórzył swoje odwidziny i mszcząc się za zasadzkę, połamał tarantasy, sanie, nadto zadusił konia, jedną krowę i porozdzierawszy około tuzina kur, porzucił je wyssane z krwi. — Zanim opiszę kilka innych wypadków osób trzecich z niedźwiedziem, mniemam, że może będzie właściwem, a może pouczającem opisanie wypadku, jaki wydarzył się mnie samemu. Jak powiedziałem przed chwilą, było u nas w zwyczaju odwidzać się wzajemnie. Arefiewa leży już na samej północy Aczyńskiego okręgu. Tam byłem w całej wsi sam jeden; gospodarze moi byli to ludzie rzadkiej prawości, poczciwości i delikatności, pochodzący z tatarskiej niegdyś rodziny. Rysy gospodarza przypominały jeszcze nieco pochodzenie mongolskie, jego żona jednak był to prawdziwy typ prześlicznej Hiszpanki. Oboje byli najlepszego serca, szanowali i kochali mnie bardzo, a i ja odpłacałem im wzajemnością na każdym kroku, ile było w mych siłach. Gdy oni np. na 10 lub 14 dni wyruszyli w pole, ja pozostawałem w domu przy dwóch małych dziatkach, które pilnowałem i strzegłem jak swoje, nawet gotowałem dla nich sam, a w danym razie leczyłem znanymi mi środkami domowymi. Oni nawzajem nie odmawiali mi niczego i nieraz byłem w ambarasie, bo najczęściej nie chcieli przyjmować zapłaty. Gdy np. potrzebowałem koni o kilka, kilkanaście, albo i kilkadziesiąt wiorst, dawali mi je z największą przyjemnością, a gdy chciałem im płacić, to mówili mi z żalem, że powinienbym wstydzić się płacić im za to, co ich nic nie kosztuje. Gdy do mnie przyjechał który z towarzszów, przyjmowali go jakby swojego najwyższego gościa, a mnie dogadzali we wszystkiem tak, że zaprawdę u rodzonych braci lub sióstr nie mógłbym serdeczniejszego doznać przyjęcia i względów. Postępowanie ich było takie, że gdybym był nie chciał, byłem zmuszony ich kochać i szanować. Za Arefiewą była tylko wieś jeszcze jedna nazwiskiem Sosnowa, oddalona o 20 wiorst, po za nią nie było już nic, prócz odwiecznej tajgi. Koledzy z Sosnowy byli u mnie w odwidziny parę już razy, a ja jeszcze u nich nie byłem nigdy. Wypadało mi więc pojechać do nich koniecznie. Ja nie znałem drogi wśród tajgi, właściwie jednak nie było tam drogi, tu i ówdzie tylko można było znaleść ślady kół, można więc było zabłądzić z łatwością i zginąć wśród tajgi. Wybierałem się do Sosnowy od dawna, gdy jednak zawsze stanęło coś na przeszkodzie, zwlekało się to z dnia na dzień dość długo, aż pewnego razu moja gospodyni Awdotia Iwanowna zaproponowała mi sama, że nazajutrz o 4tej rano wypada mi się wybrać tam koniecznie i że ona odwiezie mnie sama, bo mąż wyjeżdża na polowanie. Nazajutrz zatem rzeczywiście o 4tej rano wszystko już było gotowe, miałem już kilka gotowych nabojów ostrych, wzięliśmy także dwa tęgie angielskie topory, moją laskę żelazną, założyliśmy siatki włosienne na głowy, Awdotia zacięła dzielnego konika i zwyczajem sybirskim ruszyliśmy cwałem z kopyta ledziuchnym tarantasem. Dzień przecudny, prawdziwie sybirski, zapowiadał upał ogromny, dziewicza tajga, w którą wjechaliśmy zaraz za poskotiną, wyglądała poważnie, a jednak jak dziewica rozkosznie, unosiłem się wdziękami przyrody. Koło godziny 6tej rano byliśmy już na miejscu. Niestety, nie zastałem moich kolegów, ci bowiem wraz z parobkami i dziewczętami już od dwóch dni znajdowali się w tajdze, dokąd udali się na jagody, po południu jednak byli oczekiwani, ich zatem gospodarz, wiejski zamożny kupiec, przyjął nas serdecznie, prosił, ażebyśmy pozostali aż do ich powrotu i po prostu nie chciał nas puścić. Wobec tak wielkiego upału przyjmował nas nietylko herbatą i innemi zakąskami, ale równocześnie poziomkami ze śmietaną, a później sutym obiadem. Wszystkie dania pamiętam jak dziś. Przedewszystkiem wyborna nalewka, potem kapuśniak zwany „szczyj“, następnie rosół z makaronem, dalej sztuka mięsa z kiszonymi kawonami, potem potrawka barania z kwaskowatym sosem, następnie pieczyste łosiowe, potem sterlet w pierogu (w pasztecie), następnie głuszce i cietrzewie pieczone, potem kurczęta ze śmietaną, nareszcie jakaś legumina i konfitury na deser, a nakoniec wyborna i w Syberyi niezbędna herbata. Podczas obiadu pękło nadto kilka butelek sybirskiego napoju mocnego „kisłe szczy“ (jest to napój wyrabiany z chleba, do butelek z ryżem i pieprzem nalewany), bardzo podobny smakiem do szampana. Należy mi tu nadmienić, że w Syberyi obiad z 7 lub 8 potraw jest czemś zwyczajnem. Koło 7mej godziny wieczorem wrócili moi towarzysze z wyprawy na jagody i z nimi przepędziliśmy 3 do 4 godzin bardzo wesoło i przyjemnie. Jeden z tych kolegów w imieniu gospodarza zarządzał nietylko sklepem, ale zarazem całem gospodarstwem. Był on w wielkich względach u tego kupca, który wszelkich dokładał starań, ażeby tenże kolega mój (podobnoś Peszyński) ożenił się z jego córką, przyczem ofiarował mu cały swój majątek w handlu i gotówce wartości około 200.000 rsr. Podobno pozostał on w Syberyi i poślubił córkę swego gospodarza. Pe serdecznych pożegnaniach i zaprosinach do Arefiewy, wyruszyliśmy w drogę z powrotem. Wieś Sosnowa bogata, ładnie zbudowana, wyglądająca raczej na ładne miasteczko, ciągnęła się długo, mimo tego jadąc raźnie prędko minęliśmy wieś i wjechaliśmy za poskotinę, a za nią do tajgi. Jakżeż zupełnie inaczej przedstawiła mi się tajga! Teraz wjechaliśmy w świat owadów, które niegościnne rzuciły się na nas z całą zaciekłością. Zaprawdę opanowało nas przerażenie i rzeczywiście dziwnie przykrego doznałem wrażenia, gdy zaledwie minąwszy poskotinę, wjechaliśmy w las, niezliczone masy owadów to brzęczących, to huczących, rzuciło się na nas i na konia tak dalece, że cały czas naszej podróży otaczał nas gęsty, prawie nieprzejrzany, aż ciemny tuman tych krwiożerczych i zajadłych napastników. Nikt nie uwierzy, kto nie doznał tego, że wjechawszy w las, nagle zaciemni się przed tobą, a uszu twoich dolatuje głos, a rączej szum rozhukanych fal morskich, niby gdzieś z dala dolatujący cię odgłos krzyku uzbrojonych mas ludu. Biedna Awdotia, żywa, niemal trzpiotowata, przez prędkość zapomniała swej siatki. Nie pozostawało mi więc nic jak bronić ją od tych krwiożerczych istot mojemi rękami. Ofiarowałem jej moją siatkę, ale nie chciała jej przyjąć; prosiłem, ażeby zwróciła konia i zabrała siatkę, ale zabobonna nie chciała wracać się, upatrując w tem zły jakiś prognostyk. Oganiałem ją więc rękami, ale to pomagało bardzo mało. W końcu zaczęła płakać biedna kobiecina, krew lała się jej z szyi i z twarzy, a koń choć nigdy niepotrzebujący zachęty do biegu, obecnie nawet biczem smagany coraz biegł powolej, nareszcie szedł już tylko krok za krokiem. „Jemu — rzekłem do Awdotii — musiało się coś stać, on może słaby?“ — „A cóż — odparła z płaczem — czy nie widzisz? Przypatrz się!“ — i palcem

wskazała na konia. Rzuciłem okiem, przypatrzyłem się dokładniej, przez siatkę bowiem nie widać tak dobrze, i przeraziłem się. Komary na komarach, a na komarach komary, bąk na bąku, a na bąkach bąki, miliony, miliony najrozmaitszych owadów osiadły na nim, nie przesadzam najmniej, na cal grubości, jedne wciskały się przez drugie aż do skóry biednego konia, nie było miejsca na biednem stworzeniu, na którem owady te nie staczały między sobą istnego boju, ażeby tylko dostać się do krwi. Kazałem stanąć, wysiadłem z tarantasu i mając na ręku grube łosiowe rękawiczki, otarłem biedne konisko starannie. Gdzie posunąłem dłonią, krew lała się ciurkiem. Owady tak zajadle wpiły się w skórę, że raczej dawały się zabić, a nie ustępowały. Każdem posunięciem dłoni po grzbiecie, łbie lub po nogach konia, zabijałem tysiące, może dziesiątki tysięcy owadów, a w mgnieniu oka nowe osiadły go roje. Wsiadłem nareszcie, koń pobiegł nieco raźniej, ale to trwało krótką tylko chwilę, potem ustawał coraz bardziej i bardziej. Dla ulżenia koniowi, wziąwszy gwintówkę na plecy i laskę do ręki, wysiadłem z tarantasu i szedłem piechotą. Było już po północy, słońce już było na samem nieboskłonie, a zachód jego jakiś był dziwny, światło słoneczne łamało się jakoś ponuro, bo tuż nad słońcem jakieś ciemne, a coraz wyżej i wyżej raczej czarne, brudno-zielone wznosiły się chmury, aż nam prawie po nad nasze głowy. „Ach hospodi Boże!“ zawołała przerażona temi chmurami Awdotia, „nam razwie pridiot pogibnut zdzieś!“ (Ach Panie Boże! nam chyba przyjdzie tu zginąć!“) Na moje pytanie, czego się tak lęka, gdy przecież już upaliliśmy blisko połowę drogi, odpowiedziała mi wpół płacząc, wpół śmiejąc się, że chmury te zwykle zapowiadają „burjan“, a nadto dodała, że jej powiedziano w Sosnowej, iż teraz właśnie pora przejścia niedźwiedzi z tajgi jednej do drugiej. Uspakajałem jak mogłem, ale gdy koń już zaledwie wlókł tylko nogami, Awdotia wysiadła i tuż obok mnie szła także piechotą. Zaczęło się ściemniać, koń jeszcze ciągnął powoli próżny tarantas, ale coraz więcej opuszczały go siły i przyszło do tego, żeśmy popychali tarantas, ale niestety i to nie pomogło, koń ustał zupełnie. Nie było czego namyślać się dłużej. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wyprządz biednego konia, zostawić go opatrzności Boskiej w pobliżu tarantasu i co prędzej udać się piechotą do domu, wszak to nie było już dalej jak 6, a najwyżej 7 wiorst drogi. Wyprzęgliśmy więc biedne zwierzę, wyprowadzili z pośród dyszlów i napędzili na trawę na małej przy drodze leśnej halawce. Zaraz potem wziąłem Awdotię pod rękę i ruszyliśmy w drogę. Ale zaledwie uszliśmy kilka kroków, przypomniała sobie Awdotia, że w tarantasie zapomniała topór. Nawróciliśmy się coprędzej, Awdotia wyjęła topór i już chcieliśmy odejść, gdy przeszywający krzyk jej przeraził mnie nie mało, a jeszcze więcej widok ogromnego niedźwiedzia, którego wskazała mi palcem. O ucieczce nie było mowy, w pobliżu nie było żadnego tej grubości drzewa, po za którem możnaby schronić się i rozpocząć taniec, jakiego podobno nie zapomnę do śmierci. Niedźwiedź stał po drugiej stronie tarantasu, najdalej o dwa do trzy sążni odległości. Wybierając się już na tę wycieczkę, ułożyłem sobie plan kampanii na wypadek spotkania się z niedźwiedziem, decyzya więc moja była gotowa. Awdotia sama przez się skryła się po za mnie, odwiodłem kurek, rzuciłem okiem na panewkę, zamknąłem napowrót i byłem gotów. Strzał Rutkowskiego był mi na myśli. Niedźwiedź powoli zbliżył się do tarantasa i podniósł się na tylnych łapach. Czułem to, że tarantas wcale nie jest przydatny do tańca smutnej dla mnie pamięci, a zresztą taniec z Awdotią i ze mną a niedźwiedziem, nie bardzo byłby bezpieczny, należało działać energicznie i stanowczo, inaczej zginęliśmy oboje. Minęło to już, to też dziś piszę to na wpół śmiejąco, ale wówczas nie wielką miałem ocalenia nadzieję i wcale mi nie było do śmiechu. Niedźwiedzisko postąpiło pod sam tarantas i wielką, w olbrzymie pazury zbrojną łapę wyrzucił ku mnie, aby mię zahaczyć i przyciągnąć do siebie. Chcąc cofnąć się nagle, zapominając o stojącej za mną Awdotii, odskoczyłem w tył i niestety stojąca tuż za mną Awdotia, która i tak już była prawie mdlejąca ze strachu, silnem mojem popchnięciem odtrącona padła na wznak, ja zaś wcale nie zważając na to, złożyłem się, wymierzyłem, przytrzymałem i padł strzał, niedźwiedź drgnął tylko, opadły mu w górę wzniesione łapy i zsunął się na ziemię, pociągając za sobą tarantas, który wywrócił się na niego. Był to pierwszy i może ostatni niedźwiedź, który od mojej poległ kuli. Przekonawszy się, że strzał był pewny i dobry, że Michaił Iwanowicz wcale się już nie rusza, przedewszystkiem po raz drugi uważnie nabiłem skałkową gwintówkę, podsypałem prochu na panewkę, parę razy dobrze uderzyłem w łoże, ażeby proch z panewki skomunikował się z prochem w lufie, zamknąłem panewkę, jeszcze raz poglądnąłem na powalonego olbrzyma i zwróciłem się do Awdotii, ażeby ją zapytać co się jej stało, gdy uszczęśliwiona Awdotia, stojąc już przy mnie i klaskając w dłonie, zawołała wesoło: „Wot mołodiec!“ (Oto mi chłopak!) Bałem się podnieść tarantas i chciałem dla pewności jeszcze raz palnąć mu w same ucho, gdy Awdotia zwróciła mą uwagę, iż mogę być spokojny, bo gdyby żył jeszcze, z pewnością rzuciłby się na nas, a w każdym razie nie leżałby jak kłoda spokojnie, bez ruchu„. To lis — dodała — lis tylko umie zaczaić się i oszukać myśliwych. Koń nasz tak był znękany, że mimo widoku pobliskiego niedźwiedzia, powaliwszy się na ziemię, leżał jak nieżywy. Wtem zatętniało coś na gościńcu, nadjeżdżał ktoś konno. Był to sam środek nocy, mimo tego było zaledwie coś więcej jak szaro, a i to jedynie dlatego, że znajdowaliśmy się wśród wysokich krzaków i drzew tajgi. Schyliłem się aż do ziemi i ujrzałem jeźdzca na koniu, pędzącego dobrze wyciągniętym kłusem, nie byłem jednak w stanie rozpoznać, co to za jeździec. Obawiając się z innym jakim niedźwiedziem ponownego spotkania, postanowiłem zatrzymać jeźdzca i traktować z nim o konia lub o zamianę, a wiedząc, że nie łatwo da się zatrzymać, bo może będzie mnie miał za rozbójnika, stanąłem na drodze z gwintówką w pogotowiu do złożenia się i strzału, gdy jeździec przybliżył się, krzyknąłem „pastoj!“ — „Da czto ty? — zawołał jeździec — ja jadu z wieśma uważajemymi bumagami od isprawnika!“ (Ta co ty? ja jadę z bardzo ważnymi papierami od sprawnika.) „Wsio rawno!“ — wrzasnąłem głośno i żywo postąpiłem do niego. Jeździec nachyliwszy się, ażeby mnie rozpoznać, zawołał po chwili uradowany: „Ach! to wy Władisław Osipowicz? Ta wy nie uznali mia?“ — „A ty kto taki? — zapytałem zdziwiony, ale zanim on zdołał odpowiedzieć, zawołała Awdotia uradowana: „Ach! to ty nie uznał jewo? Da eto nasz Wasil Petrowicz.“ (Ach, to ty jego nie poznałeś? wszak to nasz Wasyl Pietrowicz.) Był to parobek moich gospodarzy, który rzeczywiście z ważnymi papierami od sprawnika wysłany był przez starszyznę z Arefiewy do Sosnowej. Rozumię się, że wszystko ułożyło się jak najlepiej. Parobek Wasyl założył swego konia do tarantasu, a tamtego po okadzeniu go dy-

mem, po napojeniu i nakarmieniu, dosiadł nieco później, rozumie się już po wyprawieniu nas, pojechał do Sosnowy i nazajutrz wrócił do domu bez przeszkody. My zaś dosiadłszy tarantasa, zaprawdę już w kilkunastu minutach byliśmy w Arafiewy, a gdy nazajutrz przywieziono niedźwiedzia, podziwiano szczęśliwy strzał. Niedźwiedź ugodzony był w dolną szczękę, a kula wyszła czaszką pomiędzy uszami.

Inni koledzy bez porównania więcej odemnie spotykali się z niedźwiedziem, a nawet na nich polowali i istne urządzali wyprawy. Tak jak Ostyacy i t. p. wybornie i celnie strzelają z łuku, tak Sybiracy w ogóle bardzo licho strzelają z swoich skałkowych gwintówek. Przedewszystkiem Sybirak nie strzeli nigdy w lot i zawsze gwintówkę opiera na widełkach, zatkniętych w ziemi. Strzelanie w lot ptaka uważają raczej za czary. Nie mogli dość napodziwiać nas, że ptaki strzelamy w lot. Jeden z naszych towarzyszów, nazwiskiem Mazaraki, podobnoś jeden z zamożniejszych obywateli wołyńskich, jakimś niepojętym dla nas sposobem przewiózł swój sztuciec aż do Syberyi. Jako doskonały myśliwy, wprawiał Sybiraków w istny podziw, w ekstazę podziwu celnością swoich strzałów. Osobliwie nie mogli pojąć jego odwagi, że on tylko z jednym z swoich kolegów, podobno Straszewskim, a nieraz sam jeden, zapuszczał się w głąb tajgi, poluje i ubija niedźwiedzia jednym strzałem, gdy oni wybierają się po 30 do 40 razem. Pewnego dnia dano znać Mazarakiemu, że niedaleko wsi, w której mieszkali, widzieli ogromną niedźwiedzicę z dwoma małemi niedźwiadkami. Natychmiast pospieszył w tajgę wraz z swoim służącym, młodym, bo zaledwie 16 do 18 lat liczącym chłopakiem. Napotkawszy raz ślad niedźwiedzicy, szedł już za nim i doszedłszy do dość obszernego wyrębu, ujrzał ją idącą z boku z swojemi małemi. Wziął na cel, palnął i niedźwiedzica ugodzona kulą, jednak nie tak śmiertelnie, ażeby padła na miejscu, podskoczyła, ale zaraz na tylne zerwawszy się łapy, dążyła pieniąc się wprost na jakiegoś Sybiraka, który właśnie ścinał drzewo toporem, słysząc bowiem uderzenie topora, myślała niedźwiedzica, że to od niego pochodzi zadana jej rana. Przestraszony Sybirak nie wiedział co począć, Mazaraki jednak pewny swojego strzału, krzyknął do niego: „Bieregiś! No nie spaczajsia! Ana raniena!“ (Strzeż się, ale nie lękaj się, ona raniona.) Sybirak tem ośmielony, wskoczył na dość wysoki pniak i gdy niedźwiedzica nieco chwiejnym krokiem zbliżyła się do niego, on z całej siły uderzył ją w szyję toporem, poczem od razu padła na ziemię. Obadwa małe niedźwiadki wlazły pod matkę i tam się skryły. Mazaraki wydobył je z pod niej i zanieśli do siebie, gdzie je wychowywali i ułaskawiali, a w końcu rozdali kolegom. Jeden mały niedźwiadek był u kolegi Radowickiego, musiano go jednak zastrzelić, w pół roku bowiem później rozdarł wielkie cielę, a zanim miał rok, zadusił już krowę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Pogląd na poemat Adama Mickiewicza „PAN TADEUSZ“ ze stanowiska łowieckiego.

Przez

**Romualda Wierzbickiego.**

Pierwszem dziełem Adama Mickiewicza, jakie około roku 1840 wpadło do rąk moich, były dwa tomiki jego poezyi w małym formacie, drukowane w Wilnie r. 1822—23. Na czele pierwszego tomiku był portret autora, wcale niepodobny do tych, jakie teraz widujemy, tam był on młody, szczupłej twarzy, bez zarostu, z włosami krótko ostrzyżonymi. Tomiki te spotkałem u sędziny J. K. w Maryampolu, która się czytaniem ich zachwycała, a wiele ballad i całe ustępy z „Dziadów“ umiała na pamięć. Była ona wielką wielbicielką Mickiewicza i twierdziła, że on sam darował jej te dwa tomiki, kiedy mieszkała w Kownie, a on był tam profesorem. Opowiadała o nim, że mieszkał w klasztorze, że lubił samotność i że był nader wrażliwym, bo wieczorem lękał się sam przechodzić przez ciemne korytarze klasztorne. Dorwawszy się do tych nowych dla mnie utworów — a były tam ballady, sonety, część II. i III. „Dziadów“, drobne wierszyki, „Farys“ i podobno „Grażyna“ — całe ranki i wieczory zajęty byłem czytaniem, robieniem wypisów i uczeniem się na pamięć całych ustępów, i zdawało mi się wtedy, że „Dziady“ były szczytem poetycznej piękności, że już nikt, sam nawet Mickiewicz, nie zdoła utworzyć nic doskonalszego. „Farys“ także robił na mnie potężne wrażenie. Byłem wtedy młodym, miałem lat siedmnaście i nie znałem jeszcze „Pana Tadeusza“. Dziś ten poemat epiczny wiele wyżej cenię jak „Dziady“, które mimo swej szczytności zdają mi się nosić na sobie nieco chorobliwej fantazyi. Może to skutek wieku, zmiany wyobrażeń, ale dziś już nie podjąłbym się wtórować poecie:

Kobieto! puchu marny, ty wietrzna istoto!

chyba z tą zmianą:

Marylo! puchu marny, ty wietrzna istoto!

bo winę jednostki nie można składać na ogół kobiet, a zresztą, czyż i między brzydszą, t. j. męską płcią, nie masz podobnych winowajców?

„Pana Tadeusza“ od deski do deski przeczytałem już kilkanaście razy, a dla odczytania pojedyńczych ustępów miałem go więcej niż sto razy w ręku i zawsze mnie zachwyca, zawsze znajduję jakąś nową piękność, której przedtem nie dostrzegłem. Inaczej też być nie może, bo jeśli mamy przed oczami jakieś np. arcydzieło malarstwa, to im częściej, im dłużej wpatrujemy się w ten obraz, z tem większą rozkoszą wnikamy w jego piękności, a przytem występują na jaw coraz inne, przedtem nieobserwowaue powaby i zalety. W „Panu

*) Wielce wdzięczni jesteśmy autorowi za poruszenie tego nader powabnego i ciekawego przedmiotu. Jakkolwiek może zbyt realnie i nie dosyć rzecz wyczerpująco ta praca traktowana, to jednak zawsze cennym jest przyczynkiem do naszej literatury łowieckiej i może wywoła ozdobniejszy i w szerszych ramach zakrojony obraz strony myśliwskiej i przyrodniczej, wyjęty z tego prawdziwego skarbca naszej poezyi rodzimej.

Tadeuszu“ znajduję to wszystko, co duszę choćby najmniej wrażliwą do głębi poruszyć może, to nie malowidło na płótnie, ale żywe obrazy, wszędzie życie i prawda, podniesione do ideału. Gdy zaś cały ten obraz osnuty jest na tle życia ówczesnych ziemian, którzy niemal wszyscy byli myśliwymi, przeto też widzimy w „Panu Tadeuszu“ mnóstwo ustępów dotyczących łowiectwa. Śmiało rzec można, że piąta część całego poematu traktuje o łowiectwie i myśliwych, i gdyby te ustępy były pominięte, to „Pan Tadeusz“ straciłby wiele na swej uroczej piękności. Od dawna z rozkoszą czytywałem te opisy myśliwskie, ale dopiero teraz nasunęła mi się szczęśliwa myśl zwrócenia na nie uwagi naszych myśliwych. Postanowiłem wskazać ustępy w „Panu Tadeuszu“, dotyczące myśliwstwa, a szereg ich długi. Któż z nas nie zna wspaniałego obrazu puszczy litewskiej i jej mateczników. Prócz tego znajdujemy:

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła,
Bo tam wzmógłszy się nagle stronnicy sokoła,
Na partyę kusego bez litości wsiedli.

dalej:

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole.

następnie:

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki.

Gdzie odwrócę, trafiam na przedmiot odnoszący się do myśliwstwa. Zatrzymam się na Wojskim, gdy on chwycił róg bawoli i wydobył zeń hymn tryumfu, i słyszę, jak

Szła muzyka, coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na Niebios progu!

Skoro w „Panu Tadeuszu“ od początku do końca co kilka kart mowa o łowach i myśliwych, dlaczegoż dotąd żaden z myśliwych, z wdzięczności za tyle wspaniałych obrazów, nie zastanowił się bliżej nad „Panem Tadeuszem“, dlaczego nie rozważył tych pytań: 1. Czy Mickiewicz za młodu należał do grona myśliwych? 2. Czy żywił w swej duszy poczucie rozkoszy łowieckich i czy myśliwskie sceny określił zgodnie z rzeczywistością, lub też one są tylko tworem jego bujnej wyobraźni? Nakoniec 3. Czy był z myśliwymi w ścisłych stosunkach, czy i o ile cenił stan łowiecki?

Nie myślę wcale wkraczać w dziedzinę właściwej literatury i zagłębić się w rozbiór naukowy całego „Pana Tadeusza“, byłoby to zerwaniem się z motyką na słońce, więc nie jako literat, lecz jako myśliwy rozważę wyżej postawione pytania, zwłaszcza iż wątpię, aby kiedy którykolwiek z literatów mówiąc o „Panu Tadeuszu“, spojrzał na niego ze stanowiska łowieckiego. Aby odczuć całą piękność i wierność tych myśliwskich ustępów, niedosyć być uczonym, trzeba też być zarazem i myśliwym. O obcej dla siebie rzeczy trudno rozprawiać i pisać, nawet podobno żaden z naszych przyrodników nie zajął się dotąd zestawieniem owych uroków natury, jakie nam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ tak świetnemi barwami przed oczy stawia. Szranki stoją otworem. Jeżeli zamierzonego celu nie zdołam należycie dopiąć, to niech dobre chęci starczą za uczynek, a może też zamiar mój poruszy inne, wytrawniejsze od mojego pióro.

Że nasz Adam chętnie się garnął za młodu do grona myśliwych, mamy świadectwo w ustępach:

Kto z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu, świszcząc szedł na pole?

Dalej:

Ja ileż wam winien, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie.

Bywał więc w dzikich ostępach na łowach w towarzystwie myśliwych i strzelał do zwierzyny. Znał obroty zająca przed chartami, czego dowodem:

Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa rożki sarnie itd.

albo:

Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie.

Bywał na ciągu słonek:

W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słonki.

Musiał też chodzić i z wyżłem, bo zna ruchy derkacza czyli chruściela:

Bo on szybuje w trawie jako szczupak w Niemnie.

Wiedział jak podchodzić dropie i siewki:

Jak strzelec, gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą,
A coraz się przybliża, kędy ptaki siedzą.

Znał też dobrze język łowiecki, bo używa wyrażeń: kot, szarak, gracz, słuchy, skoki, chwytny, hec, smycze, psy doławiają się, grają, ujadają, wpadły na trop, gonią na oko itd. Wreszcie niezawodnie w młodych latach, pod wrażeniem poruszającego duszę myśliwstwa, w chwili zachwytu dla niego, ułożył szczytny hymn łowiecki: „Chór strzelców“, który dziś jeszcze brzmi w ustach każdego myśliwego. Z tego wnoszę słusznie, że Mickiewicz w latach swej młodości na Litwie należał do grona myśliwych. Czy potem za granicą brał udział w wyprawach łowieckich, o tem dotąd niewiadomo.

Jakim strzelcem był Mickiewicz? Na to pytanie on sam odpowiada:

Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę...

Jako naznaczony stygmatem wyższego przeznaczenia, unoszący się w każdej chwili duchem w wyższe sfery, cóż dziwnego, że w czasie łowów zapominał o nich, siadał na kępie, przypatrywał się mchom, pagórkom, skokom wiewiórki, słuchał kucia dzięcioła, a mrok leśny i jęk wichrów zagłębiały go w marzenia?

......Gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
Wkoło była ciemność, gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem,
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się wtedy zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Nie wielkie zapewne zniszczenie poczynił w zwierzynie, ale natomiast ileż świetlanych uroków odsłonił nam w naszym myśliwskim zawodzie.

To pewne, że Mickiewicz tworząc „Pana Tadeusza", czerpał wiele treści z wspomnień lat młodych, kiedy obcował z myśliwymi i brał czynny udział w łowach, gdyby bowiem nigdy nie słyszał odgłosu rogów i psów grania, gdyby nie widział myśliwych wybierających się na łowy, gdyby nie słyszał huku strzelb i wrzasku polującej rzeszy, gdyby nie przysłuchiwał się rozmowom myśliwych i nie znał ich zwyczajów, nie byłby rozmiłował się w myśliwstwie i nie zdołał tak wiernie, z taką prawdą i życiem oddać opisanych w „Panu Tadeuszu" scen myśliwskich i przyswoić sobie języka łowieckiego. Ośmiclę się nadto twierdzić, iż gdyby Mickiewicz za młodu nie był przejęty duchem myśliwskim, gdyby nie chodził ze strzelbą w ręku po polach, bagnach i krzakach, nie przebiegał przepastnych krain puszcz litewskich, to opisy okolic, lasów, matecznika, pojedyńczych drzew, jak np. Baublisa, grzybobrania, wędrówki i gry chmur, stałyby się niezawodnie mniej zgodnymi z rzeczywistością i mniej uroczymi. Z zapałem musiał się Mickiewicz oddawać myśliwstwu, ale mniej dla pożądanego myśliwemu celu, zwierzyny, ile raczej dla obcowania z naturą, której tajniki badał i opis jej w porywających duszę określał obrazach. Przytoczmy z wielu kilka tylko ustępów:

A przecież wkoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikim chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym, pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły,
A niżej dziatwa leśna, głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.

Albo:

Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,
Która jako wieśniaczka swego płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!

Dalej:

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty,
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypek łąki,
Już mu z daleka wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy się wiją,
I bekając raz po raz jak bębenki biją.

Czy Mickiewicz miał w swej duszy poczucie rozkoszy łowieckich i czy sceny myśliwskie oddał z rzeczywistością? Zaprzeczyć niepodobna! Wszak chodził za chruścielami i na słonki, bywał na polowaniach z chartami i na łowach z ogarami, słuchał opowiadań starych myśliwych, miał więc sposobność poznać wszystkie rodzaje łowów, mógł malować z natury, a musiały owe łowy w duszy i wyobraźni jego wycisnąć trwałe piętno, skoro już w dojrzalszym wieku zdołał tak wiernie, tak wdzięcznie i tak żywo odmalować niektóre sceny, z których kilka przytoczę:

Jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieścia,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają,
Doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają,
Ujadają — już nie jest to powolne granie
Psów goniących zająca, lisa albo łanie,
Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły;
Na oko gonią...

...Oburącz do ust róg przycisnął,
Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,
Zasnął wpół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał...

...Wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru,
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza, coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

...Szarak, gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada,
Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstręk na prawo koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt na lewo: on w las, a mój Kusy
Cap!...

W istocie kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,
Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa rożki sarnie,
Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
Rzekłbyś że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
Pył za nim, psy za pyłem; z daleka się zdało,
Że zając, pył i charty jedno tworzą ciało.

W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słonki,
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem.

Dosyć tych wyjątków. Czyż to nie żywa prawda, czyż niezgodna z rzeczywistością, co tu można dodać lub odmienić, a któryż z myśliwych potrafiłby z takim ogniem i wdziękiem opisać te dobrze nam znane sceny?

Nasuwa się następnie pytanie, czy Mickiewicz był w ścisłych stosunkach z myśliwymi? Wszak sam przyznaje, iż bywał z nimi w dzikich ostępach, pozwalał im żartować z pudeł swoich, ucztował z nimi w lesie:

W kociołkach bigos grzano, w słowach wydać trudno,
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną.

Znał też figle myśliwskie, jak to widzimy w wierszu „Panicz i dziewczyna", gdzie do pierwszej części pióra A. E. Odyńca dodał:

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody,

a dalej:

Lecz z oczu i z miny
Tom pewnie wyczytał,
Że więcej dziewczyny
O drogę nie pytał.

Łowy i myśliwi zajmowały widocznie wyobraźnię Mickiewicza, skoro oprócz poświęcenia znacznej części „Pana Tadeusza" temu przedmiotowi, osnuł na tem tle drobniejsze swe utwory, jak: sonet „Strzelec", wierszyk „Panicz i dziewczyna", a w części i balladę „Świtezianka", jakoteż „Chór strzelców".

Na ostatnie wreszcie pytanie, czy Mickiewicz cenił stan łowiecki? odpowiem również twierdząco. „Chór strzelców" kończy się:

Hej wiatry w burzliwy
Ozwijcie sie chór!
Wystrzelil myśliwy,
Król wiatrów i chmur!

W księdze zaś IV. mówiąc o Wilnie, tak się wyraża:

Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Również myśliwi wielcy, jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierze.

Mickiewicz nazywa myśliwego królem wiatrów i chmur, rozkazuje wiatrom ozwać się w chór na cześć myśliwego, a obok wzmianki o bohaterach wspomina, że byli też oni i wielkimi myśliwymi. Ustępy te wymownie świadczą o czci, jaką Mickiewicz przejęty był dla stanu łowieckiego.

Gdy więc Mickiewicz za młodu brał czynny udział w łowiectwie, gdy tak cudnie, tak plastycznie w „Panu Tadeuszu“ wyrzeźbił sceny myśliwskie, gdy i inne utwory swoje osnuwał na tle myśliwskiem, gdy wreszcie na cześć myśliwych wspaniały wzniósł „Chór strzelców“, to niewątpliwie należy mu się od nas myśliwych wdzięczność, którą wyrazić mamy obowiązek. Wnoszę więc:

1. Niech każdy myśliwy złoży choćby mały datek na budowę wznieść się mającego w Krakowie pomnika Mickiewicza;

2. niech obok niezbędnego kalendarza, zakupi „Pana Tadeusza“ i odczytuje go z uwagą w wolnych chwilach;

3. niech w mieszkaniu swojem obok trofeów myśliwskich pomieści wizerunek autora „Pana Tadeusza“.

W Suwałkach r 1883.

---

P. R. Całem sercem podnosimy zacną myśl autora zbierania myśliwskiego grosza na cel pomnika Mickiewicza. Nie wątpimy, iż głos ten szerokiem rozbrzmi echem, że szanowni czytelnicy „Łowca“ ochoczo przyczynią się choćby najdrobniejszym datkiem do pomnikowego uczczenia najgenialniejszego z naszych poetów.

# KORESPONDENCYE.

Podkamień, 12. Grudnia 1883.

Kto odbył tegoroczne jesienne polowanie w Lisowicach, dla tego z pewnością wszelkiego uroku pozbawioną będzie strzelanina biednych szaraków, która jest „à l'ordre du jour“ w teraźniejszej porze. Przebyliśmy w istocie w tym roku chwile myśliwskiej rozkoszy wyjątkowej w życiu każdego uczestnika tych łowów. Od niedźwiedzi aż do słonek, wszelka możliwa zwierzyna roiła się przed myśliwymi i bezustannie grzmiały strzały do najrozmaitszej zwierzyny. Po takich łowach niełatwo zdobyć sobie nowych wrażeń myśliwskich, i polowanie na drobnego zwierza tem dziś jest dla Lisowickiego myśliwego, czem dla zamiłowanego gracza z Monte Carlo partya maryasza z księdzem proboszczem. Gérard, słynny pogromca lwów w Algierze, pisze w swoich pamiętnikach, iż po polowaniu na lwa, żadne inne dla niego nie miało uroku, prócz strzelania do kszyków na bagnach. W tem zgadzam się z nim jak najchętniej, ale gdy teraźniejsza pora uniemożliwia mi używanie tej rozkoszy, która nigdy na uroku nie traci, w istocie, po odbytych Lisowickich polowaniach przedsięwziąłem sobie w górach poszukać wrażeń. Z dwoma towarzyszami Lisowickich łowów, Stanisławem hr. Stadnickim i Stanisławem Piegłowskim w pierwszych dniach Grudnia udaliśmy się na jelenie do Wełdzirza i tam polowaliśmy dwa dni. 5. Grudnia przy silnej śnieżnicy, polowaliśmy na cztery otropione jelenie w rewirze Prawicz. Myśliwi stąnęli nad brzegiem rzeki Świecy w dolinie zwanej dziki Bar. Psy puszczono na górę Menczul, gdzie była ostoja jeleni. Psiarnia wnet gon rozpoczęła, jeden z jeleni spuścił się z toku góry ku rzece, przed mojem stanowiskiem. Zawdzięczam niezwykłej dobroci mego trzylufowego sztućca fabryki Molnara we Lwowie, że mimo bardzo znacznej odległości, trzy kule, króre szybko wysłałem, powaliły tego szlachetnego zwierza, który jest mylnikiem, o dziesięciu końcach, od wielu bowiem lat rogów nie zrzucał, o czem świadczy podeszły jego wiek, zęby bowiem miał całkiem zjedzone, a sam olbrzymich rozmiarów. Rogi jego zużyte i starte, gałkami zakończone, do rzadkich zaliczyć można okazów. Nazajutrz mniej pomyślnie wypadła wyprawa. Jeleń goniony przez psiarnię ominął linię strzelców i przeszedł do rewiru Mizunia. Ciągle wzrastający i bardzo już obfity stan jeleni w lasach Wełdzirza, świadczy chlubnie o staraniach straży leśnej właściciela tych rewirów barona Poppera. Po odbytem polowaniu w górach, byłem uczestnikiem łowów urządzonych przez Zarząd leśny w rewirze Rachiń. Tam ubiliśmy w dwóch dniach: rysia, 2 rogacze, 3 lisy, i 10 zajęcy. Rysia zabił leśniczy z Bołochowa. Jest to samica pięknie centkowana, a jak świadczą tropy, była w towarzystwie dwóch młodych, za któremi myśliwi dalszą mają rozpocząć pogoń. Pobyt dłuższy tej zbójeckiej rodziny wielką wyrządził szkodę w rewirze, niemało pomordowanych sarn znaleziono w rozmaitych miotach, rozszarpanych przez tych drapieżników.

*Leopold hr. Starzeński.*

---

Sokołów na Podlasiu, 1883 r.

Przed osiedleniem mojem na Podlasiu, mieszkałem na Kujawach, mianowicie w Włocławku nad Wisłą i ztamtąd w miarę możności polowałem w okolicy. Brak dużych lasów na Kujawach, więc nie ma i grubszej zwierzyny, zajęcy i kuropatw jest trochę. Wychodząc na polowanie sam bez psa, widywałem jednego lub dwa, rzadko trzy zające, kuropatw z wyżłem zabijałem średnio dwie do cztery dziennie. Ten rezultat może służyć za miarę obfitości zwierzyny. W większych posiadłościach ziemskich 50cio lub 100 włokowych ilość zwierzyny jest większa, przecięciowo można widzieć dziennie 4 do 5 zajęcy, kuropatw zabić 5 do 6. Lasy rządowe na Kujawach tak puste, że nieraz cały dzień chodziłem, nie spotkawszy zająca. Ponieważ od Płockiej Gubernii Włocławek jest tylko Wisłą oddzielony, więc jeździłem tam na polowania i rezultat był lepszy, zajęcy widywałem 5 do 6, kuropatw 4 do 5 dziennie zabijałem. Tam już więcej lasów, a szczególniej jeden zasługuje na uwagę, mianowicie w majątku Skempe własności

ś. p. Gustawa Zielińskiego, obszaru przeszło 400 włok, ma zwierzostan przepyszny, szczególniej leśne baletniczki całemi stadami pląsały po kniejach, a piesi i konni strażnicy strzegli bezustanku granic i praw właściciela. Czy sukcesorowie w podobny sposób będą gospodarować, przyszłość okaże. Z innych lasów, które znałem, zasługuje na uwagę należący do dóbr Chełmica, lecz Niemiec, który chwilowo tam gospodarował, pozostawił po sobie takie ślady w lasach jak Batyi lub Tamerlan w pochodzie wojennym. Jeżeli brzegi Wisły nie obfitują zbyt w zwierzynę, za to piękność widoków niezrównana. Nieraz w pogodny dzień po prawym górzystym brzegu Wisły wdzierałem się z bronią w ręku do góry i patrząc uważnie, czy też z pod jałowca szarak nie pomknie, stawałem u szczytu uderzony pięknością krajobrazu i długo wpatrywałem się to w modrą Wisłę, królowę rzek naszych, po której z rozpostartymi żaglami mknęły berlinki lub z oddali dolatywały nawoływania retmana do flisaków, a na drugim niskim brzegu, jak oko zasięgnie, widać równe kujawskie pola, domki bielejące, otoczone drzewami, a za nimi rozlega się w koło ciemny wieniec lasu, jak piękne ramy okalające pyszny obraz. Na wiosnę, gdy kra ruszyła, wyjeżdżaliśmy z rybakami na Wisłę, i umieściwszy się za kupami lodu, które tu nazywają szańcami, czekaliśmy, aż kaczki podpłyną na strzał. Siedząc raz w dołku, który wykopałem na wysepce czyli kępie i osłoniwszy się gałęziami, wyczekiwałem; kaczki podpłynęły na strzał, wybrałem kaczora i został po strzale, a reszta poleciała w górę rzeki, siadła i znowu je woda przyniosła do nas, lecz koledzy moi pudłowali, poczem te same kaczki podpływały ze trzy razy. Zaznaczam także, że ś. p. ojciec mój polował na kaczki w Grudniu i Styczniu podczas 24° mrozu, kiedy Wisła i inne rzeki zamarzły, a kaczki bywały na strumieniach i źródłach, które nie zamarzają, zabijał 1 lub 2, a były bardzo tłuste. Dlaczego te kaczki nie odlatują, pozostawiam rozstrzygnienie kompetentniejszym pp. myśliwym. Kłusownictwo na Kujawach nie bardzo rozszerzone i handel zwierzyną bardzo mały. Z Kujaw przeniosłem się do miasta Sochaczewa, odległego o trzy mile od sławnej niegdyś puszczy Kampinoskiej, gdzie szkolny mój kolega był podleśnym. Gleba sochaczewska jest sławna ze swej urodzajności i chociaż to nie czarnoziem, jak na Kujawach, tylko gliniasty marglowaty grunt, ale urodzaje przepyszne, a buraki rodzą się obficie. Czytam nieraz w Łowcu, że w Galicyi w niektórych majątkach dużo kuropatw, wiele ich też w Sochaczewskiem. Gdy wyszedłem z Milordem (ceber irlandzki), to po kilku godzinach przyniosłem 8 lub 10 sztuk, a inni zabijali 12—15 w ciągu trzech, czterech godzin. Mój Milord był w pierwszem polu, więc bojaźliwy, ostrożny i z tego powodu nie osięgałem lepszych rezultatów. Zajęcy stosunkowo mniej można widzieć. Kiedyś były w okolicach prywatne lasy, których szczątki pozostały, las to był sosnowy, podszyty jałowcami i leszczyną, sarn spotykało się stada po 30—40 sztuk. tak, że z daleka sądziłeś, że bydło się pasie i tylko bliżej podjechawszy, przekonywałeś się, żeś w błędzie. Ja przyjeżdżałem do tego majątku i chodziłem po resztkach lasu, 50 włók ów obywatel sprzedał żydom, po trzy tysiące rubli za włókę z ziemią, żydzi sprzedali drzewo, a za grunt włościanie także teraz płacą po 3 tysiące rubli za włókę. Całe płaszczyzny pokryte pieńkami, raz widziałem jak z krzaków wyszły 3 sarny i rogacz, i pasły się na oziminie; gdy żyd wytnie ostatek lasu, czeka was wędrówka, lub śmierć. Będąc tak blisko puszczy Kampinoskiej, chciałem poznać te bory, gdzie królowie nasi Batory i August przepędzali dnie całe na obfitych łowach. Ledwom trafił do mego kolegi, bo w środku boru mieszka i tylko parę chałup o pół wiorsty drogi stanowi całe sąsiedztwo. Dziwnie to się stało z owymi borami, są jeszcze wielkie ich przestrzenie, ale zwierzyna wytępiona zupełnie, tu istny był rój kłusowników, którzy tak gospodarowali w puszczy, jak towarzysze Korteza w Meksyku. Naokoło lasu mają domki tak zwani budnicy, gruntu przytem bardzo mało, więc tępią zwierzynę za dnia i w nocy i wywożą ją do Warszawy. Jeden z tych kłusowników, który po 10 dni w domu nie bywa, doszedł do takiej praktyki, że siada pod krzakiem i wabi bekasy na wiosnę, a który blisko zapadnie, to go nakryje siatką jak motyla, czy to możebne, nie wiem, tak mi opowiadano, gołębia każdego zwabi, kunę w dziuple wytropi. Są tam w środku lasu jeziorka, zarośnięte trawą i trzciną, gdzie są kaczki, a że to było w Lipcu, więc chciałem zapolować na nie, ale dostąpić nie było można, a kępy nie mogły utrzymać ciężaru człowieka. Widzę, że niepodobna tam wejść, towarzysz mój zaś utrzymuje, że kłusownicy chodzą po tem jeziorku, a na dowód kazał nazajutrz wyjść na kaczki leśnikowi z towarzyszami. Gdyśmy na drugi dzień przyszli, było na jeziorze ośmiu ludzi, wszyscy silni i zwinni jak jelenie, mieli parę pojedynek i każdy dwa długie kije. Z pomocą tych kijów skakali z kępy na kępę tak zręcznie, że mogliby zawstydzić nie jednego akrobatę. Lotnych nie było, klapaczy zabili sześć kijami, dwa zastrzelili, a naboje dają takie do swoich pojedynek, że huk rozlega się jak z moździerza. Poznałem trochę okolice i myśliwych, z którymi zawiązałem stosunki, zadzierżawiłem polowania, gdy zdarzyła mi się sposobność przenieść się na Podlasie do gubernii Siedleckiej. Kraj dawnych Jadźwingów pokryty niegdyś lasami, miał dla mnie urok wielki, miałem nadzieję, że znajdę się w swoim żywiole tembardziej, że dziadek mój mieszkając koło Biały podlaskiej przez lat 60, nie wychodził prawie z lasów, a ile dzików i rogaczy położył, to dzisiaj niktby temu nie uwierzył. Po przesiedleniu się do Sokołowa, smutne rozczarowanie mną owładnęło. Lasy bardzo wyniszczono, ale jeszcze pozostało ich dosyć, ale najpiękniejsze miejsca ogołocone ze zwierzyny. W większych tylko majątkach, jak: Sterdyń, Korczew, Ruchna, Przeździatka, Repki, zwierzostan jest dobry, bo pp. właściciele majątków bardzo racyonalnie prowadzą gospodarstwo myśliwskie, są tam dziki, sarny, lisy, wilki, zające, a z ptactwa cietrzewie, kuropatwy. Na gruntach drobnych właścicieli, których większość w Podlaskiem, pustki ogromne pod względem zwierzyny. Pomimo stosunkowo dużych lasów, składających się z iglastych i liściastych drzew, podszytych jałowcami, lub też ogromnych przestrzeni krzaków jałowcowych, nie uchroniła się zwierzyna wobec mnóstwa tępicieli, którzy na wszelki możliwy sposób niszczą zwierzynę. Zastawiają wnyki na zające, czatują w nocy na wychodnego, często w Maju biją zające w zbożach, kuropatwy łowią na sidła i brożki i podjeżdżają po śniegu sankami, co jest ogromnie morderczem, bo czasami pada 12 sztuk od jednego strzału, a przytem psów po polach wiele się wałęsa, dzieciaki pasąc bydło szukają gniazd kuropatw i ptasich, aby je zniszczyć, a w każdej wsi kilka fuzyj, oto przyczyny, które okolicę tak obfitą niegdyś w zwierzynę i nadającą się wielce do jej rozmnożenia, dziś ogołociło ogromnie z wszelkiej zwie-

rzyny. Na błotnych polowaniach trafiają się kszyki, dubelty, kaczki dzikie, na wiosnę słonki. Na przyszły rok mam zamiar udać się do gubernii Grodzieńskiej w celu polowania w borach i polach, lubo niepomyślne głosy i ztamtąd mnie dochodzą. Smutne to, ale naszą rzeczą zaradzić złemu; ciężka to praca, lecz myśliwym nie brak energii i wytrwałości, więc rezultat też musi być dobry, a kraj nasz, niegdyś sławny z łowiectwa, może odsyska dawną świetność. Z tą nadzieją kończę moje sprawozdanie.

*G. Turobiński, inżynier.*

# KRONIKA.

Gubernia Grodzieńska, powiat Prużański — to ojczyzna żubrów! Myślałby kto, że to strona leśna, gdzie nic łatwiejszego, jak spotkanie się z grubym zwierzem, rogatym łosiem, burym wilkiem, może nawet z niedźwiedziem. Jakżeby się mylił! Zachodnią część powiatu zajmuje puszcza Białowieska, ale dążąc na wschód, las się przerzadza, sosny i jodły ustępują miejsca brzozom i olchom, dalej żółty piasek, gdzieniegdzie kępka jodłowa, dalej gaik rzadki, a że pozostałe piaski trudno się bez pomocy ludzkiej zasieją, długo tu zapewne jeszcze będzie pustynia, bo któżby tu siał drzewa, tem bardziej, że prawo własności u nas, to rzecz bardzo wątpliwa przy ukazie z 10. Grudnia i prawie o konfiskatach, śliczne bo to wynalazki do zniszczenia kraju prowadzące. Im bliżej miasteczka Prużan, tem grunta i uprawa lepsze, wioski i dwory gęstsze, zielenieją młode gaiki. Tu najgrubsza zwierzyna i lis, który w spółce z kłusownikiem prześladują zająca, jastrzębie szybują swobodnie, polując na kuropotwy i inne ptactwo, na które siermiężny myśliwy żałuje prochu, bojąc się spudłować. Myśliwych prawdziwych tu bardzo mało, młoda generacya tem się nie zajmuje, są amatorowie zwierzyny, ale na półmisku, ci kupują ją choćby w Marcu i Kwietniu, smakuje im i służy zdrowiu. W takich warunkach trudno o porządny zwierzostan, to też my nieliczni myśliwi, chociaż staramy się temu ile możności zaradzić, nie wiele zdziałać możemy, robimy jednak co można, chroniąc u siebie zwierzynę, polując rzadko i tylko w porze właściwej. Polujemy zwykle z nagonką, pada kilka, czasem kilkanaście zajęcy, parę lisów — i na tem koniec. Lepsze polowanie z wyżłem, bo drobna zwierzyna mniej ulega wytępieniu. Słonek nie ma tu teraz nigdzie, dubelty spotykają się, równie jak kuropatwy i przepiórki, a myśliwy tu dotąd swobodny, jak okręt na morzu, mało gdzie polować mu nie wolno. W tym roku kuropatw było dosyć, ale że rok był mokry, dubeltów było mało, chodząc dość często, raz tylko znalazłem i ubiłem dwie pary. Zajęcy spotykało się wiele, mniej jednak, jak w latach przeszłych. Północna część powiatu ma lasy więcej czarne, puszcza to rządowa, Berczowe błoto i puszcza Świsłocka, dawniej Tyszkiewicza referendarza, dziś skonfiskowana rządowa. Tu spotykają się sarny, a nawet i łosie, ale polować mogą ci tylko, co na głowach gwiazdki mają. Nierzadki tu głuszec, cietrzew i jarząbek. Dawniej, przed laty 30tu, mieliśmy w ogóle więcej wody, pamiętam u mnie za dworem, gdzie dziś nawet w mokrych latach bydło się pasie, było błoto, po którem chodzić niepodobna było, jakież tu na wiosnę było życie, co za wrzawa ptactwa błotnego, bąki huczały, tysiące kaczek szukało miejsc na gniazda, bębnił i wabił się bekas, a byle grądek lub kępka, stadko batalionów w godowych strojach staczało zawzięte walki. Błota przerżnął kanał, lasy znikły, błota wyschły, życia też tu teraz mało, tylko czajka czasem żałośnie jęknie lub żaby się odezwą. Mówią, że to dla gospodarstwa lepiej. Cieszmy się tem. Dla nas starych zwierzyny do polowania wystarczy, a młodzi niech na półmisku polują.

*L. Malski.*

---

Szebisty (Węgry).

Południowe stoki Karpat po węgierskiej stronie, łącząc się w naszej okolicy z Karpatami siedmiogrodzkiemi, znanemi pod nazwą transylwańskich Alp, mają mnóstwo zwierzyny tak miejscowej czyli gniazdowej, jakoteż wędrownej, przybyłej z dalekich stron, czyli z głębi Karpat Mołdo-wołoskich. Jelenie rogacze w porze rykowiska spieszą nieraz z oddalenia kilkudziesięciu mil na weselne gody. Niedźwiedzi tu mnóstwo miejscowych, równie też wilków gniazdowych i przybyszów. Całemi bandami, jak ongi Tatarzy różnymi szlakami, ściągają się dla łupieży. W miesiącu Październiku urządziliśmy na prędce polowanie na niedźwiedzie, naprędce powtarzam, gdyż brakło nam czasu do większych przygotowań. W 10 myśliwych i 12 naganiaczy zbuszowaliśmy miot, w którym były 2 stare i 2 młode niedźwiedzie. Naganiacze ruszyli ich, lecz poszły w tył i przepadły, przynajmniej dla mnie, bo Panu Bogu wiadomo, czy i kiedy będę jeszcze w tamtych stronach. Ciekawą może będzie dla zoologów wiadomość, że w miejscowości Szàtsa, na górach, noszących prawdziwie alpejskie piętno, bo tak jak nasze turnie tatrzańskie, szczytnych, skalistych, a bezdrzewnych, znajduje się w znacznej dosyć liczbie kozica. Chłopi tutejsi namiętnie polują na nią. Jako dowód jej bytności tu niech służy znaczna liczba sprzedawanych tam rożków. z których kilka par po 1 złr. nabyłem. Najwięcej ciekawem, ale nie wiem, czy prawdziwem, jest podanie kilku tutejszych bardzo starych górali, którzy mnie zapewniali, że przed 60 laty, w czasie bardzo nawalnej zimy, wilki czy brak żeru napędziły aż ku samej wsi stado dzikich wołówturów, które do nogi w liczbie 8 sztuk wybito. Nie wiem, ile w tem prawdy, lecz zdaje mi się, że należałoby rzecz tę bliżej zbadać.

*Józef Wa.....*

---

Z Pokucia 21. Listopada 1883.

W tej części Pokucia, położonej między Prutem a Dniestrem, mało mamy kniei, za to polowania dobre, bo zwierzyna szanowana, choć wiele co roku pada, jednak w każdym następnym roku liczba jej się pomnaża. Tak n. p. knieje hr. Stanisława Dzieduszyckiego i kniazia Puzyny, posiadają taką ilość zajęcy, jak mało w Galicyi, podobnież łęgi w Targowicy, majątku p. Adolfa Abrahamowicza, gromadzą po pierwszych dniach zimowych na małej przestrzeni zadziwiającą liczbę zajęcy i lisów. Nie mniej piękną knieję posiada p. br. Romaszkan z Horodenki w swych majątkach nad Dniestrem, Siemakowcach i Potoczyskach, gdzie bardzo uprzyjemnia polowanie rozmaitość zwierzyny. Od lat kilku wiele tam dzików, a w stromych i zagęszczonych ściankach nad Dniestrem mnóstwo lisów, przytem zadowalający stan sarn i zajęcy. W tej to kniei polowaliśmy 5. i 6. b. m. Rezultat nie był tak dobry, jak zwykle, a to z powodu, że ciągle spodziewano się dzików, więc nie w każdym miocie strzelano do innej zwierzyny, tymczasem dziki, wiedzione instynktem zachowawczym, wyniosły się na te dnie do innych lasów. Ogółem padło: 1 dzik, 2 kozły, 7 lisów i 35 zajęcy.

*T. C.*

---

Prababki nasze słynęły niegdyś z przyprawy wódek, zwanych nalewkami. Z wyjątkiem Litwy, w Polsce gosposie nasze, nie wiem, z jakiej przyczyny, porzuciły zwyczaj przyrządzania nalewek, będących stokroć zdrowszym napojem, jak wszystkie dzisiejsze sklepowe wódki, do których fabrykanci używają często nawet trucizn. Na łowach jesiennych lub zimowych nie trudno o przeziębienie, więc opatrzny myśliwy powinien mieć w torbie choćby niewielką manierkę wódki, używając jej, jak to dawniej mawiano, „dla zalania robaka“ i ochrony od zaziębienia. Na ten cel najwyborniejszą podobno wódka „dzięgielówka“. Sporządza się ją bardzo prostym sposobem: do garnca czystej okowity dodaje się jeden funt korzenia rośliny dzięglu, a zna ją każda wiejska kobieta. Najlepszym jest korzeń, wykopany w Maju, przed zakwitnieniem rośliny. Pokrajany korzeń sypie się do butla z okowitą i stawia w miejscu słonecznem. Po kilku tygodniach, gdy okowita przybierze kolor brunatny, zlewa się ją do innych flaszek. Smak takiej nalewki nie bardzo wyśmienity, ale nader skutecznym środkiem przeciw zaziębieniu i gwałtownym boleściom lub kurczom żołądkowym. Skuteczności tej nalewki doświadczyłem w czasie gwałtownej cholery. We wsi i w okolicy umierało mnóstwo osób, u mnie zaś we dworze, mimo ciągłej styczności z chorymi, nikt nie zapadł na tę straszną słabość, bo używaliśmy dzięgielówki po kieliszku rano i wieczorem jako prezerwatywy. Udało mi się nawet wyleczyć kilka wypadków cholerycznych. Polecam więc dzięgielówkę czytelnikom „Łowca“, z całem przekonaniem o jej skuteczności, a jeżeli Sz. Redakcya pozwoli, to prześlę jej kilka innych środków leczniczych tak dla ludzi, jako też dla psów łowieckich.

*Doświadczyński.*

Horodyska, dnia 15. Grudnia 1883.

Kozła z głową trzema rogami przyozdobioną ubito tego roku 7. Sierpnia na podjeździe w dobrach Tuczempskich. Kozioł był stary i posiadał u spodu lewego roga zwyczajnego, rożek 12 ctm. wysoki na własnej osadzony róży. Nadto u spodu prawego roga ubitego kozła

znajdowała się wypukłość mięśniowa, w której niezawodnie zbierał się materyał na utworzenie nowej t. j. czwartej z rzędu łodygi rogów. Na pierwsze wejrzenie przedstawiały się tylko trzy rogi na trzech odrębnych różach i łodygach osadzone, z których ostatni miał kształt rożka kozła špiczaka, gdyż wypukłość owa była jeszcze w włosie skóry ukrytą. Obok tego przy pobieżnem rozbieraniu rogacza dostrzeżono następujące anomalia w jego budowie: nienaturalnej wielkości pęcherz, brak zdatnych do żucia zębów i oczy bielmem obleczone. Czy wspomniane nienaturalne utwory rogów po zrzuceniu powstały lub w skutek niezrzucenia rogów w odpowiednim czasie się utworzyły, było zagadką dla tutejszych myśliwych. Głowa opisanego kozła znajduje się w posiadaniu Wgo W. Micewskiego w Tuczempach koło Jarosławia.

*F. Wowkonowicz, leśniczy.*

---

Na polowaniu dnia 15. Grudnia b. r. u p. Włodzimirza Garapicha w Łukawcu ubito w półczwartej godziny w 7 strzelb 33 zające i 3 kozły. Strzałów padło 84. Notujemy to jedynie z tego powodu, że w niedalekiej przeszłości w tamtych kniejach nic nie było, dopiero po odebraniu majątku przez teraźniejszego właściciela, przy racyonalnem prowadzeniu łowiectwa, stan zwierzyny tak się pomnożył, iż w każdym miocie były sarny widywane, a szczególnie w jednym sztuk 17. Było to pierwsze i na ten rok ostatnie polowanie. Prawdziwie staropolska gościnność i uprzejmość gospodarza, przyczyniły się wiele do przyjemności spędzonych tych kilku godzin. *W. Z.*

---

Duszatyn 16. Grudnia 1883.

Właśnie dowiaduję się od osób wiarygodnych, że w okolicy tutejszej bywa tępioną zwierzyna przez kłusowników, niemających ani pozwolenia polowania, ani też karty na broń, a w szczególności przez Hrycia Harhaja, zarobnika dziennego w Radoszycach powiatu Sanockiego, który za utrzymanie swoje obrał właśnie kłusownictwo. Że Hryć Harhaj z Radoszyc trudni się polowaniem, względnie kłusownictwem, poświadczają p. Czajkowski c. k. pocztmistrz i Alojzy Malinowski z Komańczy, dalej Mortko Brand i Tymko Huczko z Radoszyc. Donosząc z obowiązku o tem, proszę o zarządzenie, by wspomianemu Hryciowi Harhaj strzelba z domu jego jako kłusownikowi z profesyi, przez żandarmeryę w Bukowsku odebraną została. Nadmieniam jeszcze, że w Wisłoku, także Starostwie Sanockiem, zamieszkała familia Rependów trudni się kłusownictwem w towarzystwie innych współgospodarzy, a to nawet na wysoką skalę, bo skóry z dziczyzny odsyłają w komis do Lipska handlarzowi skór Kellerowi. *Edmund Wierzbowski.*

---

Galacz (Rumunia).

„Chcesz wiedzieć WPan Dobrodziej, jak też nam tu czas dziś schodzi“, mówiąc z poetą, to ci powiem: robimy, co w późnej jesieni robić można. Wyżyny, a raczej obszerne łany, po zbiorze bujnej kukurudzy wyglądają smutno dla oka romantyka, ale wesoło dla myśliwego, więc strzelby na plecy i ruszywszy we trzech, dwóch Polaków i jeden Niemiec, bo mieniący się potomkami Rzymian Rumuni, czyli jak się nazywać każą Romani, nie grzeszą lubownictwem łowiectwa. Wyruszamy tedy na wszystko, co św. Hubert da. Co kilkadziesiąt kroków wymyka kopyra, a mnóstwo ich tu. Okolica bezleśna, chyba gdzieniegdzie małe gaiki, a raczej krzaczki cierniowe, sakłakowe, z przymieszką karłowatego cedru (po rumuńsku cedrul). Są to naturalne remizy, bo o zakładaniu sztucznych *cives regni Romaniae* wyobrażenia nie mają. W tych remizach i w ogóle na wszystkich niemoczarnych przestrzeniach mnóstwo drobnej zwierzyny: zajęcy, kuropatw, przepiórek i chruścieli. Z wyjątkiem nas kilku Polaków, Niemców i Czechów, w dodatku kilku synów Albionu, nikt tu nie poluje, kłusowników wcale nie ma, więc roi się mnóstwo rozmaitej zwierzyny. Jedyną szkodę czynią w niej jastrzębie różnych gatunków, których prócz nas nikt nie tępi. Jeżeli wiele jest zwierzyny na polach, to stokroć jej więcej na moczarach naddunajskich. We trzech w miesiącu Wrześniu b. r. ubiliśmy 40 bekasów, 13 kaczek, 20 dubeltów, a ja w dodatku zabiłem starego pelikana, strzelając do niego może na 100 kroków, gdy ponademną przelatywał. Twardego życia to ptak, mimo przestrzelenia kulą przez kuper, ja i mój wyżeł Pique namęczyliśmy się nie mało, nim dobić zdołali. Mnie jakby młotem uderzył pelikan po nodze, wyżła zaś kuł w głowę silnym swym dziobem, iż skowyczało psisko w niebogłosy. Jednem słowem okolica to rajska dla czcicieli św. Huberta. Brat mój posiada smycz chartów, ponieważ tu wszędzie wolno polować, robimy czasem kilkumilowe wycieczki z chartami, szczując po kilkanaście zajęcy dziennie, biorąc z nich kilka, bo charty nie tęgie. Należą one do rasy mołdawskiej, włochate, dość ciężkie, kundysowate, z dużemi kłapciastemi uszami. Biorą zające tylko na długiem polu, gdy je zforsują. Nie lubię chartów tej rasy, bo brzydkie, ciężkie i ponure, nie masz to jak chart ukraiński, wreszcie angielski, co to poszczuj nim zająca, w jednej chwili kniaź! kniaź! już wzięty. Mimo zalety bogatego zwierzostanu okolica Galaczu monotonna, bo bezleśna, urozmaica ją chyba majestatyczny Dunaj z swojemi skalistemi lub moczarnemi wybrzeżami, na których krocie różnorodnego błotnego i wodnego przebywa ptactwa. Istny to raj dla myśliwych.

*Hipolit.*

---

Z Rzeszowskiego. Grudzień.

Jako przykład nader słabo rozwiniętych zmysłów u borsuka, podaję fakt, który bardzo łatwo za blagę myśliwską uważanym być może, a jednak jest prawdziwym. Dnia 4. Grudnia b. r. wracałem wieczorem do domu piechotą z pobliskiego folwarku. W odległości nie więcej jak 10 kroków spostrzegłem zwierzę jakieś zwolna postępujące. Na razie sądziłem, że to zając, po chwili jednak z ruchów i dwóch jasnych pręgów na głowie poznałem borsuka. Stanął on na chwilę, patrzył na mnie wietrząc, poczem zwrócił się i wolno poszedł ścieżką. Poskoczyłem szybko, ile możności cicho, za nim, i ciężką mocno okutą laską uderzyłem go z całej siły dwa razy w łeb. Borsuk zwraca się ku mnie i chwyta za but, w skutek czego ja tracę równowagę i całym ciężarem ciała padam na borsuka, który po krótkiej chwili szamotania się, wyrywa się z uścisków, nam obu niemiłych, i nim zdołałem się podnieść, znika w pobliskich krzakach. *L. P.*

---




Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.